EPOKA

ROK VI | Warszawa, 15 sierpnia 1939 r. | ROK VI Nr 23 (162)

ANKIETA „EPOKI"

Sprawa Gdańska i sprawa pokoju w opinii świata

1. Czy agresja, której przedmiotem mogłaby stać się Polska ze strony Niemiec hitlerowskich, stanowiłaby niebezpieczeństwo dla pokoju świata, a w szczególności dla Pańskiego kraju? Czy kraj Pański jest zainteresowany w okazaniu natychmiastowej pomocy Polsce?

2. Czy odstąpienie Gdańska Niemcom hitlerowskim usunęłoby niebezpieczeństwo agresji? Czy uważa Pan — i czy uważa się w Pańskim kraju — stanowczą postawę i opór Polski za zasługujące na poparcie?

3. Czy dla stworzenia frontu pokoju pakt angielsko-francusko-sowiecki jest pożądany i konieczny? W jaki sposób możnaby przyspieszyć zawarcie tego paktu?

4. Czy rząd Pańskiego kraju jest, zdaniem Pańskim, poważnie zdecydowany do prowadzenia stanowczej i skutecznej polityki pokoju?

5. Czy wzmocnienie demokracji (tak w Polsce jak i gdzieindziej) mogłoby zdaniem Pańskim, powiększyć moralne i materialne siły oporu?

6. Jakich środków należałoby użyć, aby obronić pokój międzynarodowy przed zamachami hitleryzmu i faszyzmu?

7. Czy zwołanie Konferencji Międzynarodowej przed ostatecznym utworzeniem Frontu Pokoju byłoby stosowne czy przedwczesne? ż

D. N. PRITT

członek Izby Gmin, Członek Egzekutywy Labour-Party

1. Jest oczywiste, że napaść Niemiec hitlerowskich na Polskę wstrząsnęłaby pokojem świata. Myślę, że pociągnęłaby za sobą wystąpienie Anglii. Posługuję się terminem: myślę, nie mam bowiem zaufania do obecnego rządu Anglii, że dotrzyma słowa w każdych okolicznościach. Sądzę jednak, że nacisk opinii publicznej zmusi go do przyjścia Polsce z pomocą.

2. Nie sądzę, aby ustąpienie Gdańska III-ej Rzeszy usunęło niebezpieczeństwo wojny. Mogłoby ono, jak inne kapitulacje w przeszłości, opóźnić wybuch wojny, lecz, z upływem czasu, uczyniłoby ją jeszcze bardziej prawdopodobną, a z chwilą jej rozpoczęcia, jeszcze bardziej niebezpieczną dla sił antyfaszystowskich. Sądzę, że trzebaby okazać poparcie stanowczej postawie i obecnej woli oporu Polski. Myślę tak nie z sympatii dla rządu polskiego, bądź angielskiego, czy francuskiego, lecz ponieważ myślę, że jeżeli nie chce się dopuścić do zalewu świata przez faszyzm, jedyną alternatywą jest wsparcie każdego kraju, który okazuje wolę stawienia oporu agresji hitlerowskiej, bez względu na formę jego rządu. Według mego zdania, większość Anglików sądzi również, i to z różnych powodów, że postawa i wola oporu Polski winny doznać poparcia.

3. Sądzę stanowczo, że pakt angielsko-francusko-sowiecki, oparty na zasadzie bezwzględnej pomocy i bezwzględnej wzajemności zobowiązań, jest dla stworzenia Frontu Pokoju pożądany i konieczny. Zawarcie takiego paktu może być przyspieszone przez nieustanny nacisk opinii publicznej na rząd angielski w Anglii i rząd francuski we Francji.

4. Nie jest rzeczą łatwą odpowiedzieć na pytanie, czy rząd angielski zdaje się być szczerze zdecydowany do prowadzenia stanowczej i skutecznej polityki pokoju. Według mojego zdania, jak długo Chamberlain znajduje się na czele rządu, może on w każdej dogodnej dla siebie chwili rozpocząć sabotaż frontu pokoju i okazać poparcie Hitlerowi i Mussoliniemu. Obawia się on jednak opinii publicznej i ta może go zmusić do prowadzenia polityki pokoju stanowczej i skutecznej.

5. Sądzę, że wzmocnienie demokracji tak w Polsce,

jak gdzieindziej, powiększyłoby znacznie siły moralne i materialne oporu. Lecz tylko prawdziwe wzmocnienie i rozszerzenie rzeczywiste demokracji będzie mogło wzmóc siły antyfaszystów w Europie, a szanse trwałego pokoju będą się rozwijać w miarę takiego wzmacniania i rozszerzania demokracji.

6. Nie jest rzeczą łatwą powiedzieć, nie pisząc długiej rozprawy, jakie inne środki powinny być zastosowane, aby obronić pokój świata przed groźbami napastników faszystowskich. Jak już powiedziałem, przede wszystkim trzeba wzmocnić demokrację. Następnie — ułatwić ludowi niemieckiemu zrozumienie, że żaden kraj nie pragnie utrzymywać go w stanie ciągłej niższości, lecz, że przeciwnie, sprawiedliwość polityczna i gospodarcza dla wszystkich ludów winna być celem wszystkich rządów. Po trzecie należałoby usunąć z rządów mocarstw prawdziwie demokratycznych, czy też uważających się za takie, zdradzieckie wpływy, co, w rezultacie, pociągnęłoby za sobą wielkie zmiany w rządach Francji czy Wielkiej Brytanii. Między innymi działaniami, zbyt licznymi, aby je wszystkie tu wymienić, możnaby się uciec do zwołania Konferencji Międzynarodowej, takiej, jaką przedstawiam w odpowiedzi na następne pytanie.

7. Przywiązuję wagę do zwołania Konferencji Międzynarodowej, ale jest to projekt, który wymaga troskliwego przygotowania, przy czym konferenja taka nie powinna się zebrać dopóty, dopóki nie zostaną ustalone podstawy dyskusji, mogące doprowadzić do jakichś rzeczywistych rezultatów. Wobec tego sądzę, że zwoływanie Konferencji Międzynarodowej, przed utworzeniem ostatecznym Frontu Pokoju, byłoby przedwczesne i niebezpieczne. Z drugiej strony jeżeliby prawdziwy Front Pokoju, taki, jaki się przewiduje, został utworzony przed zwołaniem Konferencji Międzynarodowej, należałoby, aby wszystkie rządy, w nim uczestniczące, dały w sposób jasny do zrozumienia ludom Niemiec i Włoch, że, mimo utworzenia Frontu Pokoju w celach doraźnej ochrony, pragną one rzeczywiście i szczerze nie zapanowania nad napastnikami, ani ich otoczenia, lecz urzeczywistnienia w przyszłości sprawiedliwości gospodarczej i politycznej dla wszystkich.

Pułkownik

Josiah C. Wedgwood

Były minister, członek Izby Gmin

1. a) Tak. b) Mam nadzieję.

2. a) Nie. b) Owszem.

3. a) Tak. b) Przez wprowadzenie do gabinetu Churchilla i Edena.

4. Mam nadzieję.

5. Bez żadnej wątpliwości.

6. Propozycyj, uczynionych przez nową grupę „common wealth“, jako krok w kierunku federacji światowej.

Uzyskania pomocy Stanów Zjednoczonych.

Położenia kresu prześladowaniom Żydów.

Wolnych obrotów gospodarczych między sprzymierzeńcami.

7. To zależy od tego, ktoby ją zwołał, ale przedtem utworzyć należy FRONT POKOJU.

Profesor Olaf Stapledon

Pisarz

1. Tak.

2. a) Nie. b) Tak.

3. a) Tak. b) Przez zmianę składu gabinetu brytyjskiego, który winien objąć Churchilla i Edena. Chamberlain powinien pójść do dymisji.

4. Nie.

5. Tak.

6. Demokracje winny się zjednoczyć. W tym samym czasie, w którym organizować się będzie opór przeciwko agresji, należałoby zwołać ogólną konferencję poświęconą sprawom gospodarczym i problemom kolonialnym. Kolonie nie posiadające rządu niezależnego, winny być poddane komisji międzynarodowej. Lecz będzie to zależało od powodzenia oporu wobec agresji faszystowskiej.

Dekada polityczna

Nie ma odprężenia

Świat wchodzi w sferę wysokiego napięcia, w „pas burz“. To przede wszystkim stwierdzić wypada przy przeglądzie wypadków politycznych ubiegłej dekady. Plan szantażowy, wypracowany w tajnych konwentyklach na zamku w Berchtesgaden, zaczyna wchodzić w stadium realizacji.

Nic nie byłoby bardziej fałszywym, bardziej nie na miejscu, jak mówić o jakimś „odprężeniu“, jak określać chwilowe odwroty hitlerowskie na tym, czy innym odcinku mianem „wygrania wojny o Gdańsk“ czy „ostatecznej klęski Hitlera“. Nie, bitwa dopiero się zaczyna i nikt z nas nie wie, jakie w niej zostaną jutro dokonane pociągnięcia. Nie wolno ani na chwilę osłabiać czujności społeczeństw, ani na chwilę osłabiać zbrojnego pogotowia.

Ci, co mówią o „odprężeniu“, niech spojrzą na to, co się dzieje za granicą niemiecką. Oto w Prusach Wschodnich na dzień 16 i 17 bm. powołano na ćwiczenia wszystkich mężczyzn, zdolnych do broni, do 50 roku życia. Dziesiątki statków, naładowanych materiałami wojennymi odchodzą z Lubeki i Szczecina do portów wschodnio-pruskich. W końcu sierpnia mają odbyć się nad wszystkimi granicami Rzeszy wielkie manewry przy udziale około 2 miln. ludzi. W gorączkowym tempie wykańcza się nowe autostrady: z Berlina do Wrocławia, z Wrocławia do Bytomia, tuż nad polską granicą, z Wrocławia do Brna Czeskiego. Gorączkowo buduje się drogi i na Słowaczyźnie, szczególnie w okręgach, graniczących z Polską, gdzie równocześnie zwiększa się co dzień liczebność niemieckich garnizonów.

A więc wojna? Niekoniecznie, może chodzić i o szantaż, podobny do tego, który przed rokiem przyniósł Rzeszy Sudety i otworzył drogę do Pragi i Bratysławy.

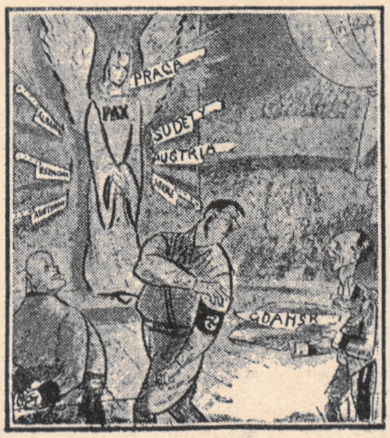
wojny dla reżymów totalnych jest bardzo wielkie. Ale nie ulega wątpliwości, że w najbliższych tygodniach imperializm niemiecki przystąpi do wielkiej ofensywy gróźb wojennych i że najmniejsze objawy wahania ze strony mocarstw pokojowych, najsłabsza bodaj nadzieja na „zlokalizowanie konfliktu" może skłonić Trzecią Rzeszę do kroków, których nieuniknionym już następstwem musiałaby się stać nowa, na wielką skalę, wojna światowa.

Gdańsk

W szczególności cofnięcie się — cofnięcie zresztą tylko częściowe i warunkowe Senatu gdańskiego w sprawie celników polskich nie powinno nam zakrywać oczu na całokształt rozwoju sytuacji w Gdańsku, rozwoju, który trudno określić jako zadawalający.

Przypomnijmy, że jak to stwierdził w „Gazecie Polskiej" p. Smogorzewski, w Gdańsku stoi w tej chwili, zlekka tylko zamaskowana jako „policja" lub „Heimwehra", pełna dywizja piechoty, ze wszystkimi służbami pomocniczymi, jak saperzy, oddziały łączności, oddział zwiadowczy, kompania czołgów, kilka baterii artylerii polowej, kilka baterii artylerii przeciwlotniczej, kilka ciężkich armat, wszystko w pełni zaopatrzone w amunicję. Stwierdza p. Smogorzewski dalej, że wzgórza wyżyny gdańskiej (panujące, jak na to wskazuje min. Strassburger w swej ostatniej książce, nad niziną gdyńską) są w szybkim tempie fortyfikowane. „Dziennik Bydgoski" dodaje do tych informacji wiadomość o budowie pod Maćkowem całego „miasta barakowego", przygotowanego pod kwaterunek wojskowy. Głosy prasy zagranicznej idą jeszcze dalej: pismo tak ostrożne jak konserwatywny „Daily Telegraph" ocenia liczbę wojsk niemieckich, skoncentrowanych w Gdańsku na 15 tysięcy ludzi.

Umyślnie zatrzymaliśmy się obszernie przy tej sprawie, wydaje się nam bowiem ona najważniejszą zmianą, dokonaną w Gdańsku w ciągu ostatnich miesięcy. Zmieniony ton władz gdańskich wobec przedstawicieli Rzeczypospolitej, napastowanie Polaków, prowokacje w rodzaju „sprawy Lipińskiego" — wszystko to są akcesoria uboczne, które mogą zadziwić tylko tych, którzy brali na serio politykę sławetnego „zbliżenia", ale które można było łatwo przewidzieć, wiedząc jakie są zamiary hitleryzmu wobec Gdańska i do czego doprowadzić musi — właśnie nie tylko może, ale musi! — oddanie władzy w Gdańsku w ręce hitlerowców. Nie zmieniają one jednak absolutnie niczego w sprawie jedynie ważnej: w stosunku realnych sił nad polskim morzem. Zmiany natury wojskowej mają znaczenie dlatego, bo — choć w niezbyt wielkim stopniu — przecież prowadzą one do przesunięć w tym realnym stosunku sił. Właśnie dlatego — rzeczą niezwykle ważną jest zahamowanie militaryzacji Gdańska.



(Le Rire)

Wodzu, czy nie lepiej poczekać chwilę z tym nożem? Zdaje mi się, że Ci się ręka trzęsie.

Słusznie pisze w tej sprawie „Zwrot":

„jedynym racjonalnym środkiem obrony jest przejęcie inicjatywy politycznej przez sprzymierzone państwa frontu pokojowego i wykazanie jej przede wszystkim na odcinku gdańskim, który i pod względem formalnym i pod względem faktycznym najwięcej do tego się nadaje... Trzeba w Gdańsku przejść do ofensywy. Jest to jedyny sposób położenia kresu stanowi rzeczy, który na dłuższą metę staje się nieznośny — dla wszystkich".

Niemcy marzą o nowym Monachium

Trzeba przejść do ofensywy w Gdańsku tym bardziej, że niezdrowy tam stan rzeczy — zachęca Niemcy do marzeń, które mogą być tylko szkodliwe dla pokoju: do marzeń o „nowym Monachium".

Taktyka niemiecka jest przy tym bardzo jasna: stworzyć stopniowo na terenie Gdańska tyle faktów dokonanych pod każdym względem, w tylu dziedzinach odciąć Gdańsk od organizmu gospodarczego Polski, by później definitywny „Anschluss" przedstawiał już tylko pozornie „nieistotną formalność", by można było mówić potem tylko o nadaniu formalnej sankcji rzeczywistemu stanowi rzeczy. W realizacji tego planu wszystko jest ważne: każda zamknięta szkółka polska na terenie Wolnego Miasta, każda zlikwidowana polska placówka celna, każdy Polak zapisany do „Arbeitsfrontu", każdy orzeł polski, usunięty z któregoś z pamiątkowych gmachów gdańskich. Wszystko to stanowi ogniwa jednej planowej akcji: przecięcia więzów, łączących pod każdym względem Gdańsk z Polską.

Potem — liczą politycy Trzeciej Rzeszy — starzy przyjaciele monachijscy nie zawiodą; zabiorą się do tłumaczenia Polakom, że przecież o „formalności" wojny się nie zaczyna, przyrzekną im jeszcze kilka „gwarancji" i — sprawa będzie załatwiona. Kto czyta artykuły prasy niemieckiej, pełne inwektyw antypolskich, ale zarazem i ukłonów pod adresem kół monachijskich anglo-francuskich oraz — o wiele dyskret-

Na publicznym wiecu „protestacyjnym" hitlerowców gdańskich w dniu 10 sierpnia wygłosił pan Forster buńczuczne przemówienie, pełne hałaśliwych pogróżek przeciw Polsce i nie mniej hałaśliwych zapewnień, że Gdańsk powróci do Rzeszy, bo za hitlerowcami gdańskimi stoi Adolf Hitler.

Jak było do przewidzenia, pan Forster umiejętnie skorzystał z pewnych, sporadycznych zresztą, głosów niektórych pism polskich dla oskarżenia Polski przed opinią europejską, o agresywne imperialistyczne zamiary wobec Rzeszy Niemieckiej, o jakieś fantastyczne plany zaboru ziem niemieckich czy nawet rozbioru i zniszczenia Niemiec!

Intencje pana Forstera są wyraźne. Odpowiednio „preparując" nieliczne głosy, które nie wyrażają stanowiska poważnej, odpowiedzialnej opinii polskiej, ani poglądu polskich czynników miarodajnych, gauleiter gdański usiłuje w ostatniej jeszcze chwili izolować Polskę w opinii Zachodu i ułatwić antypolskie intrygi tamtejszych monachijczyków, będących na służbie niemieckiego imperializmu.

I ten fortel zawiedzie. Cały świat zna przemówienie Naczelnego Wodza naszej Armii, wygłoszone w Krakowie dnia 6 sierpnia. Ustami marsz. Śmigłego Rydza wojsko polskie powiedziało Europie, że kraj nasz nie ma żadnych agresywnych, zaborczych zamiarów wobec Rzeszy Niemieckiej i do wojny nie dąży, ale gotów jest zbrojnie odeprzeć każdy zamach na nasze prawa i ziemie, na naszą pozycję w Gdańsku.

niejszych — uśmiechów do polskich hitlerofilów, kto czyta, jak próbuje się tłumaczyć Anglikom, że to tylko poparcie angielskie dla Polski stwarza niebezpieczeństwo wojny, a Polakom, że to Żydzi, masoni i bolszewicy wbrew najgłębszym interesom Polski prą do przeciwstawienia się żądaniom niemieckim — ten zdaje sobie sprawę z rachub niemieckich.

Przyjacielem Hitlera — reakcja Zachodu

Nie trzeba sądzić, by hitlerowskie dusery spotykały się na Zachodzie z wyłącznie wrogim przyjęciem. Owszem, istnieją koła i ośrodki, dla których wdzięki hitleryzmu nadal pozostają ponętne. Są to przede wszystkim koła reakcji politycznej. Prasa anty-monachijska przypomniała ostatnio następujące wynurzenia jednego z przyjaciół p. Abetza, drukowane w francuskim piśmie „Combat" w listopadzie ub. roku: „Klęska Niemiec oznaczałaby załamanie systemów totalnych, stanowiących główny wał ochronny przed rewolucją komunistyczną, przed bolszewizacją Europy. Klęska Francji byłaby klęską Francji; ale zwycięstwo Francji byłoby nie tyle zwycięstwem Francji, co zwycięstwem zasad, uważanych słusznie za wiodące do ruiny Francji i cywilizacji... Oto jedna z zasadniczych przyczyn, przyczyna może najbardziej solidna, dla której nie należało decydować się na wojnę we wrześniu".

Ten strach, paniczny strach przed zwycięstwem własnej ojczyzny trwa dotąd. Ten strach dyktuje faszystom angielskim p. Mosley'a żądanie oddania Gdańska Rzeszy, ten strach każe bożyszczu polskiej reakcji, p. Maurras z „Action Française" prowadzić kampanie przeciw „bellicystom", domagającym się pełnego, bez żadnych zastrzeżeń, poparcia Polski. Reakcja Zachodu nie rezygnuje z ideologicznych sympatii dla Berlinternu. Czymże bowiem innym jak ideologiczną sympatią dla Hitlera wytłumaczyć można, że właśnie teraz, w wydanej przez się świeżo książce „Year of Reckoning" („Rok Obrachunku") głośny reporter podręczny lorda Rothermere'a, p. Ward Price, niedawno jeszcze persona grata i naszych kół reakcyjnych, tak oto formułuje dylemat pokoju europejskiego:

„Przyszłość cywilizacji europejskiej zależy od jednej rzeczy: czy mocarstwa kierownicze znajdą sposób ustąpienia pokojowo Rzeszy tego szerszego obszaru, którego ona żąda. Gdyby to okazało się niemożliwym dla odnośnych rządów, konflikt celów i interesów, jaki dzieli dziś Europę, musi w sposób nieunikniony niemal doprowadzić do wojny".

Innymi słowy, zdaniem p. Ward Price'a, nie zachłanność niemieckiego imperializmu, lecz niezdolność rządu brytyjskiego do nakarmienia go, oczywiście cudzym kosztem, stanowi główną przyczynę obecnej sytuacji. Całe szczęście, że nawet p. Ward Price niezbyt wierzy w możliwość żądanego przez nie obszaru". P. Simon może wiele, ale nie może wszystkiego...

Wohltat, Rotszyld,& Lever Co

Oczywiście, chodzi tu nie tylko o ideologiczne sympatie. Chodzi i o kieszeń, kieszeń mocno brzęczącą złotem. Nawet reakcyjny francuski Service d'Archives już sobie zdaje sprawę, że „znaczna część City, Bank Anglii, finansiści, przemysł chemiczny, elektryczny i metalurgiczny za wszelką cenę dążą do porozumienia z Hitlerem, gdyż ci, którzy ulokowali swe kapitały w Rzeszy i we Włoszech... boją się, że wojna może zrujnować życie gospodarcze i socjalne Niemiec". Jako przedstawicieli tych właśnie kół (może niezupełnie dokładnie określonych — w łonie odnośnych przemysłów trwa walka wewnętrzna) wymienia pismo reakcyjne pp. Simona, Hoare'a i Runcimana.

Tak ogólny interes bynajmniej tu jednak nie wystarcza. Każde poszczególne pociągnięcie hitlerofilskie ostatnich miesięcy kryło za sobą konkretny „business" którejś z wielkich grup finansowych. Kosztem interesów pokoju światowego, kosztem interesów Imperium Brytyjskiego dokonywano pociągnięć, zyskownych dla poszczególnych grup rekinów finansowych.

Wiadomo dziś, np., że za oddanie im **złota czeskiego** Niemcy zapłacili **zwolnieniem z pod kontroli dewiz olbrzymich należności** niemieckiego angielsko - holendersko - niemieckiego koncernu **Unilever**, wyciągającego zresztą ładne setki tysięcy złotych i z Polski. Prezes Banku Rozrachunków Międzynarodowych, p. Beyen, który dokonał wydania tego złota, opuszcza od 1 stycznia swój bank i przechodzi na stanowisko członka Zarządu koncernu Unilever.

Wiadomo też, że jeśli obecnie toczą się pertraktacje o zwolnienie dalszej części aktywów czeskich w Anglii (dla ich ułatwienia skoncentrowano te aktywa, za zgodą rządu brytyjskiego na jednym rachunku praskiego, przejętego przez hitlerowców, Banku Narodowego) — to chodzi tu o to, by skłonić hitlerowców do zapłacenia Rotszyldom londyńskim i ich wspólnikom (wśród których znowu figurują pp. Leverowie z Unileveru!) ceny kupna Zakładów Witkowickich: trzech milionów funtów.

Takich interesów jest wiele. Egoistyczne względy poszczególnych grup wielko-finansowych stanowią jedno z głównych źródeł niebezpieczeństwa monachijskiego na Zachodzie.

Szpiedzy, dywersanci, kryminaliści...

Dopiero w oparciu o te podstawowe siły: reakcyjne ugrupowania polityczne i kliki wielko-finansowe, rozwija swą działalność właściwy aparat propagandowy Rzeszy. Obejmuje on szereg działów: dział szpiegowski, który właśnie w tej chwili nabrał szczególnego rozgłosu dzięki aferom Abetza, odkryciu gniazd szpiegowskich w Stanach Zjednoczonych i innym sensacjom. Ale o wiele bardziej zasługuje na uwagę rozległa sieć organizacji propagandowych, stworzonych przez agentów hitleryzmu.

Niemiecka prasa emigracyjna na podstawie niedyskrecji zbiegłych z Rzeszy byłych pracowników Ministerstwa Propagandy stwierdza, że już w r. 1935 wydatki tego ministerstwa na propagandę zagraniczną wyniosły przeszło 260 miln. mk (przeszło pół miliarda złotych!). Od tego czasu, podług wiarygodnych informacji, wydatki te uległy co najmniej podwojeniu. Oznacza to, że w chwili obecnej sieć propagandowa niemiecka kosztowała ponad 1 miliard złotych rocznie. Liczba agentów hitlerowskich zagranicą wynosić ma około 30 tysięcy, liczba kontrolowanych przez nich organizacji ponad 40 tysięcy.

Jedną z takich organizacji, rozwijającą gorączkową działalność w Anglii musiał zdemaskować ostatnio sam p. min. Hoare, czołowy przedstawiciel hitlerofilstwa w rządzie brytyjskim. Chodzi tu o związek „The Link" („Ogniwo"), kierowany przez b. admirała brytyjskiego, Sir Barry Domville'a. Jak stwierdził min. Hoare, organizacja ta prowadzi propagandę hitlerowską w Anglii a co najmniej jeden z jej kierowników jest opłacany przez Trzecią Rzeszę.

O wiele niebezpieczniejsza jeszcze jest, prowadząca robotę przede wszystkim w City, „Anglo-German Fellowship" („Towarzystwo Porozumienia Anglo-Niemieckiego"). Prezesem tego „porozumienia" jest p.

d'Arcy Cooper, prezes koncernu Unilever, a biura jego mieszczą się w gmachu tegoż koncernu. Jak widać, Rzesza umie wykorzystywać swe kontakty w City...

Ale—rzecz ciekawa — obok wielkich d'Arcy Cooperów propaganda Trzeciej Rzeszy nie gardzi i małymi płotkami. Niekiedy — płotkami o mocno kryminalnej przeszłości. Tak np. na „gwiazdę" radia niemieckiego i jego propagandy brytyjskiej zaawansował niejaki p. Wicks, skazany za złośliwe bankructwo na rok kryminału. Z bezpiecznego miejsca w Berlinie grzmi on teraz co wieczór przeciwko „terorowi żydowskiemu", panującemu w Anglii. Inna gwiazda propagandy hitlerowskiej to taki mały Kreuger angielski, niejaki Hatry, skazany na 14 lat więzienia za ciemne machinacje finansowe. Ten pan, po odbyciu dziewięciu i pół lat kryminału, zarabia teraz na życie pisaniem książek, w których, m. in. proponuje oddanie Rzeszy kawałka Polski, „który mógłby stanowić dla Niemiec korytarz na Ukrainę"...

Nie trzeba lekceważyć tych historyjek. Każda z nich z osobna jest śmieszna, ale w sumie stwarzają one nastroje, które propaganda polska powinna planowo i świadomie zwalczać. A podobne historie zdarzać się mogą nie tylko w Anglii i Francji...

Od „rewolucyjnego pacyfizmu" w objęcia Berlinternu"

Trzy tygodnie temu, w czasie wyborów uzupełniających w Hythe, wystąpiła na widownię polityczną (i zresztą przegrała sromotnie) nowa formacja polityczna faszyzmu brytyjskiego: t. zw. „Brytyjska Partia Ludowa". Rzecz ciekawa: cały niemal jej sztab to dawni przedstawiciele „pacyfistycznego" skrzydła Labour Party, którzy obecnie, z zachowaniem niemal w pełni dawnej terminologii, wylądowali wprost w obozie Hitlera. Partia żada m. in. „zupełnego wycofania się W. Brytanii z Europy", „sprawiedliwości społecznej" i „ustaw przeciwko cudzoziemcom". Na czele jej stoi John Beckett, dawny zwolennik „rewolucyjnego pacyfizmu" z I.L.P. oraz niejaki Greene, który również opuścił Labour Party z powodu jej „polityki wojennej". Nie brak oczywiście arystokracji brytyjskiej: prezesem tego stronnictwa jest markiz Tavistock, syn księcia Bedfordu, zresztą również były labourzysta. Wreszcie przeszedł do tej nowej partii Sir John Philby, znany podróżnik, który również od dłuższego czasu stanowił w Labour Party ośrodek „pacyfistycznej" opozycji przeciwko „Frontowi Pokoju". Wszyscy ci panowie uważają widać, że pokój światowy będzie najbezpieczniejszy pod panowaniem Adolfa Hitlera...

Sam fakt jest jednak charakterystyczny i bynajmniej nie odosobniony. Ci pacyfiści brytyjscy, którzy nie zrozumieli dotąd, że obrona pokoju wymaga przede wszystkim czynnego przeciwstawienia się wszelkiej agresji, staczają się coraz bardziej do współpracy z wojowniczym blokiem faszystowskim. Ostatnio np. zwrócono uwagę, że Peace Pledge Union, skupiająca „pacyfistów integralnych", urządza obozy letnie w Niemczech, gdzie wszelka propaganda pacyfizmu, nawet nie „integralnego", byle w języku niemieckim, karana jest z miejsca co najmniej obozem koncentracyjnym, że wydawnictwa tej „Union" sprzedawane są masowo na zebraniach organizacji hitlerofilskich w Anglii. Nie jest ona odosobniona pod tym względem.

Czy np. we Francji „pacyfiści" ze Związku Nauczycieli, „rewolucyjni pacyfiści" z grupy Piverta i zwolennicy t. zw. „Czwartej Międzynarodówki" nie przyczynili się przed rokiem swą propagandą do powodzenia akcji p. Bonneta? Czy nie byli oni, co najmniej obiektywnie, w następstwie głoszonych przez nich haseł, pomocnikami Hitlera przy podboju Czechosłowacji?

Na szczęście w ruchu robotniczym i chłopskim Polski ugrupowania tego typu nie znajdują żadnego oparcia.

Czego chcą pp. Chamberlain i Daladier?

W obliczu rozpętanej akcji propagandowej niemieckiej, wobec wzmagających się z każdym dniem prowokacji Rzeszy w Gdańsku i nie tylko w Gdańsku (ostatnie incydenty graniczne rumuńsko - węgierskie są jak najwyraźniej „Made in Germany")—szczególnej doniosłości nabiera polityka rządów mocarstw zachodnich. Czy w polityce tej zostały już wykorzenione ostatnie resztki „Monachium". czy Chamberlain i Daladier bodaj na najbliższy czas stanęli zdecydowanie w obozie stronnictwa oporu? Niestety, analiza faktów nie pozwala nam na udzielenie odpowiedzi potwierdzającej na to pytanie.

Przede wszystkim trzeba tu wspomnieć o wspólnym obu rządom dążeniu do eliminacji parlamentu. Nie chodzi nam tu o stronę formalna zagadnienia, ani nawet o znaczenie wewnętrzno-polityczne tego dażenia. Chodzi nam o jego związek z polityką zagraniczną.

Wiadomo, że we Francji opinia publiczna jest o wiele mniej „monachijska" niż większość Izby Deputowanych. Przy obecnej ordynacji wyborczej, gdzie wybiera się kandydata, a nie stronnictwo, nowe wybory we Francji mogłyby przynieść pogrom „monachijczyków" wszystkich odcieni politycznych. A oto Daladier właśnie teraz odracza wybory o dwa lata, uwalnia posłów — „monachijczyków" od zmory bliskiego już obrachunku wyborczego. Co za pomoc dla p. Flandina, głównego przedstawiciela hitlerofilstwa w parlamencie! Kto wie, może za dwa lata już wielu ludzi zapomni o jego telegramach gratulacyjnych do Hitlera!

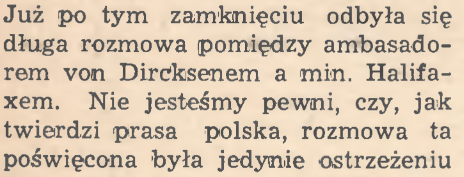
Wiadomo, że Izba Gmin w Anglii stanowi pewien, choć może nie zupełnie pewny, hamulec przeciw monachijskim kombinacjom niektórych ministrów. Pamiętamy, jak musiał wić się jak piskorz podczas dyskusji parlamentarnych p. min. Simon, by wytłumaczyć oddanie czeskiego złota, by jakoś wyjaśnić, dlaczego nie udzielono pożyczki Polsce. Pamiętamy jak na obradach Izby Gmin przypierano do muru raz po raz p. Chamberlaina, czy to w sprawie hiszpańskiej, czy też paktu sowieckiego. Pamiętamy jak zareagowała Izba Gmin na rozmowy Hudson — Wohltat. Izba Gmin stanowiła poważne utrudnienie wszelkich rozmów monachijskiego typu. I oto te-

raz p. Chamberlain, wbrew zdaniu nie tylko opozycji, ale i znacznej części swych własnych zwolenników, posyła ją na wakacje właśnie na te dwa miesiące, podczas których spodziewać się należy kulminacyjnego punktu niemieckiej kampanii szantażowej. Co za ułatwienie dla wszelkich lotów do Berchtesgaden, czy Godesbergu, dla wszelkich poufnych rozmówek z rozmaitymi emisariuszami Hitlera. Przez dwa miesiące nie trzeba będzie nikomu zdawać sprawy z działalności dyplomatycznej. Ile złego może narobić w tym czasie p. Simon, p. Hoare, p. Bonnet...

Niepokojące objawy

To też warto zaznaczyć, że bezpośrednio po zamknięciu obrad Izby Gmin nastąpiło wzmożenie aktywności dyplomatycznej rządu. Jak się okazuje, ambasador brytyjski w Berlinie, znany hitlerofil p. Henderson, odwiedził kanclerza w Salzburgu i odbył z nim tam długą rozmowę. Wiadomość o tym opublikowano dopiero, gdy Izba nie mogła się już zająć tą sprawą, choć sama rozmowa odbyła się nieco przed zamknięciem sesji Izby. Już po tym zamknięciu odbyła się długa rozmowa pomiędzy ambasadorem von Dircksenem a min. Halifaxem. Nie jesteśmy pewni, czy, jak twierdzi prasa polska, rozmowa ta poświęcona była jedynie ostrzeżeniu Rzeszy przed nowymi prowokacjami w Gdańsku...

W każdym razie na odcinku gospodarczym mamy do zanotowania bardzo niepokojące pociągnięcia. We Francji pozwolono ponownie na eksport rudy żelaznej z Lotaryngii do Rzeszy. Nowa umowa handlowa francusko-niemiecka udziela Rzeszy prawa do korzystania z dotychczasowych kontyngentów czechosłowackich oraz zwalnia z pod sekwestru zatrzymane dotąd wkłady czeskie w Paryżu, sięgające 20 miln. fr. Prasa niemiecka określa tę umowę jako „uznanie de facto obecnego stanu rzeczy w protektoracie". Analogiczne pociągnięcie przygotowuje się i w Anglii: wspomnieliśmy już o skoncentrowaniu wierzytelności czeskich w Londynie na rachunku Banku Narodowego.



Daily Herald

Nevellina do Halifaxiny: „Chwała Bogu, że babcia Parlament jedzie na wieś. Zabawimy się pierwszorzędnie z chłopcami.

Wywołuje to reakcję ze strony mocarstw, przeciwnych nowemu Monachium. Stosunki gospodarcze pomiędzy Stanami a Anglią uległy w ostatnich tygodniach pewnemu ochłodzeniu. W szczególności pertraktacje o wielką transakcję zamienną pomiędzy rządem brytyjskim i amerykańskim (bawełna i pszenica amerykańska wzamian za brytyjski kauczuk i cynę) napotkały ostatnio na jakieś poważniejsze trudności techniczne...

W Moskwie nic nowego

Nie mniej niepokojący jest przebieg rozmów moskiewskich. Dokładnie w dniu zamknięcia sesji Izby Gmin Mr. Strang opuścił Moskwę. Trudno nie dopatrzyć się w tym pewnej łączności przyczynowej: Chamberlain wolał uniknąć niedyskretnych pytań posłów. Nie uspokajają nas też zapewnienia, że pertraktacje będą toczyły się nadal, że nawet doszły one do uzgodnienia niemal wszystkich punktów spornych. O ile można się zorientować z wiadomości prasy angielskiej sprawa zasadnicza: t. zw. „agresji pośredniej" nad Bałtykiem pozostaje dotąd w zawieszeniu.

Wyjazd misji wojskowych nie zmienia naszego zdania. Chodzi przede wszystkim o to, jakie instrukcje otrzymały te misje. I tu — zwróćmy uwagę na charakterystyczny szczegół: po pierwsze wyjazd misji odkładano z dnia na dzień, tak że wyjechały one o pięć dni później niż pierwotnie zapowiadano. Po drugie: pojechały one drogą morską, używając dość powolnego statku „City of Exeter", co spowoduje, że przyjadą one znowu o kilka dni później niż przewidywano. Czyżby doprawdy generałowie i admirałowie nawet mieli wstręt do posługiwania się samolotem? A może ten drobny szczegół rzuci nam nieco światła na istotne instrukcje udzielone delegatom francusko-brytyjskim?

Sądzimy, że instrukcje te brzmią: zyskać na czasie. Zwlekać, rozmawiać, pertraktować, tak by rząd brytyjski zachował na razie swobodę decyzji: gdyby udało się zmajstrować Monachium, delegaci powróciliby z niczym, gdyby zdecydowane stanowisko Polski i nacisk opinii brytyjskiej uniemożliwiły Monachium a agresja niemiecka spowodowała konflikt zbrojny, pertraktacje, wobec obecności delegacji wojskowych, mogłyby być zakończone w błyskawicznym tempie i wojska sowieckie mogłyby wystąpić na placu boju.

W interesie Polski leży oczywiście, aby pertraktacje zostały ukończone przed konfliktem, nie w czasie konfliktu. Oznacza to dla niej bowiem poważne wzmocnienie jej pozycji, a więc dodatkowy czynnik, odstraszający Rzeszę od popełnienia agresji, a w razie ataku niemieckiego, pozwala sztabowi polskiemu na liczenie się, od pierwszej chwili z pomocą sowiecką, jako z góry określoną, przystosowaną do potrzeb Polski wielkością. Tym się tłumaczy, że Sowiety, dążąc do finalizacji rokowań, wysuwają żądanie zaproszenia do nich i delegacji wojskowej polskiej. Liczą one na pomoc delegatów polskich w doprowadzeniu do ostatecznego porozumienia.

Ludy przeciw Monachium

Mimo kampanii hitlerowskiej, mimo agentur monachijskich, mimo wahań niektórych ministrów Zachodu, sytuacja nie jest korzystna dla nowego Monachium. Nie jest korzystna przede wszystkim dlatego, że nastroje opinii publicznej, że nastroje ludów są wszędzie przeciwko kapitulacji, wypowiadają się wszędzie za zdecydowanym oporem wobec wszelkich agresji osi.

Wskażmy tu przede wszystkim na dalszy zwycięski pochód Labour Party, której naczelnym hasłem przy wyborach uzupełniających jest przecież opozycja przeciwko dwuznacznościom i monachijskim ciągotom Chamberlaina. Wprawdzie dotąd nie doszło jeszcze do porozumienia postępowej opozycji, do tego „bloku postępowego" z labourzystów, liberałów i anty-monachijskich konserwatystów, który jedynie mógłby zapewnić w całej pełni klęskę chamberlainizmu, ale mimo wszystko nawet obecnie prawdziwe nastroje społeczeństwa ujawniają się zbyt wyraźnie, by mógł je lekceważyć nawet Chamberlain. Na około 400 posłów rządowych w Izbie Gmin, około 120 nie zjawiło się na posiedzenie, około 40 demonstracyjnie wstrzymało się od głosu, a tylko około 240 głosowało za wnioskiem odroczenia sesji przedłożonym przez Chamberlaina. Prasa angielska mówi o „rewolcie aktywu konserwatywnego", bynajmniej nie przychylnie nastrojonego wobec wszelkich dalszych prób monachijskich. Rewolcie, rzecz jasna, dokonującej się pod naciskiem

coraz bardziej zdecydowanej w swej „oporowości“ opinii publicznej. Nie tylko we Francji posłowie dbają o zachowanie mandatu...

Co ciekawsze, nawet w krajach, gdzie demokracja znajdowała się długi czas w odwrocie, niechęć do imperializmu niemieckiego występuje coraz wyraźniej. Przypomnijmy wybory finlandzkie, gdzie berlinternowscy „Lappowcy“ ponieśli katastrofalną klęskę, a sympatie mas chłopskich, dotąd przez nich tumanionych skierowały się w stronę partii socjalistycznej. Tam, gdzie nie ma wyborów, te nastroje znajdują zgoła niespodziany wyraz — na szpaltach prasy rządowej, totalistycznej. Tak np. urzędowy organ hitlerofilskiego totalizmu łotewskiego „Briva Zeme“ skarży się coraz częściej na „niezrozumienie“ mądrej polityki rządu przez społeczeństwo łotewskie, na niechęć tego społeczeństwa do „realizmu“ rządu Ulmanisa, na „sentymentalne nastroje“ poważnych kół łotewskich, które chciałyby współpracę z Rzeszą zastąpić współpracą z Frontem Pokoju.

Próby hitlerowskich agentur spotykają się z odprawą również w świadomych politycznie grupach narodów kolonialnych, gdzie przecież nie ma sympatii dla imperializmu brytyjskiego. W odpowiedzi na wizytę Schachta w Indiach pisał Pandit Nehru, czołowy przedstawiciel niepodległościowego Kongresu Hinduskiego: „młode demokracje Indii i Wschodu są, na równi ze Stanami Zjednoczonymi i Sowietami, także przeciwko nazizmowi i faszyzmowi, po stronie wolności“.

Wreszcie przypomnijmy, że również w mocarstwach osi właśnie ostatnie miesiące przyniosły poważne ożywienie działalności stronnictw opozycyjnych, nielegalnych, przeciwstawiających się zdecydowanie polityce wojennej Hitlera i Mussoliniego.

Sztaby w obozie oporu

Drugim czynnikiem, który, podług wszelkich danych, jakie dadzą się tu zebrać, przechyla się na Zachodzie zdecydowanie na stronę oporu, są sztaby, korpus oficerski mocarstw zachodnich.

Czytelnicy „Epoki“ pamiętają oświadczenie gen. Gamelina o ustępstwach, którymi nie zdobywa się szacunku, ani nie ratuje się pokoju. Cały szereg ostatnich pociągnięć świadczy, że słowa te stanowiły doniosłe, wielkiej wagi, oświadczenie polityczne.

To sztab francuski, niezależnie od władz cywilnych, zdemaskował we Francji Abetza i jego robótkę. To sztab francuski i brytyjski, niezależnie od monachijskich westchnień Simona i Bonneta, przeprowadza obecnie szereg ćwiczeń wojennych, o bardzo wymownych tematach. Prasa zagraniczna twierdzi, że ostatnie zarządzenia mobilizacyjne w Anglii i Francji zostały przeforsowane przez sztaby wbrew poważnemu oporowi niektórych ministrów cywilnych.

Najcharakterystyczniejszy szczegół zacytujemy na końcu: oto komendantem wszystkich sił brytyjskich na przestrzeni t. zw. Środkowego Wschodu, tj. na wschód od Malty, a na zachód od Indii mianowany został gen. A. P. Wavell. Młody ten, pięćdziesięcio - sześcioletni, dowódca był w roku 1936 szefem brytyjskiej misji wojskowej na manewrach sowieckich. Odtąd uchodzi on za gorącego zwolennika brytyjsko-sowieckiej współpracy wojskowej. Jego nominacja oznacza, iż sztab brytyjski zakłada, przy opracowywaniu planów akcji na terenie Bałkanów i wschodniej części Morza Śródziemnego, współpracę sowiecką jako czynnik doniosłej wagi. A to znów znaczy — że sztab ten nie liczy już więcej na żadne monachijskie kombinacje.



New York Daily Mirror

PRZED PIĘĆDZIESIĘCIU LATY
Rysunek powyższy, słynnego karykaturzysty francuskiego Daumiera, przedstawiający zbrojny „pokój“ Europy, narysowany był w r. 1879. „Im bardziej to się zmienia, tym bardziej pozostaje po staremu“ — mówi francuskie przysłowie.

Polska nie pojedzie do Monachium

Na takim tle rozwijać wypada działalność dyplomacji polskiej w tych decydujących miesiącach, od których zależy być może los cywilizacji europejskiej. Sytuacja jest, niewątpliwie skomplikowana, ale stwarza dla Polski korzystne szanse oporu.

Przede wszystkim zapewnia ona jedno: że bez zgody Polski, wbrew zbrojnemu oporowi Polski do żadnego monachijskiego rozwiązania dojść nie może. Wszystkie rozmowy w dyrektorskich gabinetach City mogą stwarzać dla Polski takie czy inne trudności, takie czy inne przykrości, mogą doprowadzić do takich czy innych „propozycji“ pod naszym adresem tego, czy innego dygnitarza, ale nie mogą przekreślić paktu wzajemnej pomocy pomiędzy Anglią i Polską. Panowie monachijczycy zgodzili się na ten pakt tylko pod naciskiem opinii publicznej, by uniknąć własnego upadku. Będą musieli go wykonać, pod tym samym naciskiem, albo pod tym samym naciskiem upaść. W dodatku pozycja Sowietów zabezpiecza Polsce w razie konfliktu pomoc z tej strony nawet niezależnie od Zachodu, jeśli tylko nasza dyplomacja wykorzysta w porę istniejące możliwości. Polska nie tylko może bronić swych praw, swej niepodległości i swej całości, ale może je i obronić, pod warunkiem wykorzystania wszystkich sił społeczeństwa.

Stąd też cały naród polski ostatnią mowę Naczelnego Wodza zrozumiał jako zapowiedź, że Polska na żadne ustępstwa wobec pretensji hitlerowskich nie pójdzie, że Gdańsk musi pozostać w obrębie organizmu celnego Rzeczypospolitej, pod kontrolą władz celnych polskich, że z żadnego ze swych praw w Gdańsku Polska nie zrezygnuje, że nie ustąpi ze swej suwerenności choćby nad jednym metrem kwadratowym ziemi pomorskiej. Jeśli jakieś, niewiadomej inspiracji, organy zagraniczne mogły dopatrzeć się w tej mowie próby nawiązania rozmów polsko-niemieckich, to trzeba im przypomnieć, że rozmowy takie mogłyby się toczyć tylko na podstawie uznania z góry nienaruszalności praw polskich w Gdańsku i pełnej suwerenności Polski na Pomorzu. Jeśli statut gdański może być poprawiony, to chyba w tym kierunku, by uniemożliwić na przyszłość wyczyny podobne do tych, na które pozwalają sobie w ostatnim czasie pp. Forster i Greiser w Gdańsku.

Polska do Berchtesgaden ani Monachium nie pojedzie.

DO PRZYJACIÓŁ „EPOKI“.

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „EPOKI“.

Z genealogii demokracji polskiej

Rycerz niezłomny wolności

„...Urodziłem się wolnym i mam nadzieję umrzeć nim; nie znałem i nie znam człowieka jeno republikanina... Niewolnik nie jest człowiekiem“...

(Sułkowski — Mowa wygłoszona na posiedzeniu Klubu Jakobinów w Konstantynopolu w roku 1794).

Rok 1797. Ciemną noc ziemi włoskiej rozjaśniają ogniska biwaków żołnierzy Napoleona. Przy jednym z ognisk gotuje strawę grupa polskich legionistów-chłopów. Twarze ich poorane zmarszczkami, mundury brudne i obdarte. Większość z nich uczestniczyła w bojach Polski z Targowicą pod Zieleńcami, Zelwą, upajała się Racławickim zwycięstwem, własnymi oczyma oglądała Maciejowicką klęskę... A po rzezi Pragi, po zdławieniu przez interwentów Insurekcji, zbiegła za galicyjski kordon i została zapędzona w austriackie rekruty. Wojować miała w obronie feodalnego porządku z rewolucyjną armią francuskiego ludu. Szybko jednak bagnety swoich karabinów zwróciła przeciw swym panom. Kiedy na ziemi włoskiej powstały polskie Legiony, uwierzyli ci Bartosowi żołnierze, że wkrótce przyjdzie chwila, kiedy legionowe orły polskie i trójkolorowe sztandary francuskie przedrą się przez niebotyczne Alpy, lotem strzały przetną naddunajską nizinę i z zielonych Karpat spadną zwycięsko w mazowiecką ziemię, niosąc Polsce polityczne i społeczne wyzwolenie. Lecz płyną dni, miesiące i lata. Ziemia włoska coraz gęściej pęcznieje polską krwią. Mnożą się proste mogiły polskich chłopów. A jeszcze wciąż nie nadchodzi tak oczekiwany rozkaz marszu na północ. Chwila wydania tego rozkazu zda się nawet oddalać, kiedy rewolucyjnej przecież armii wódz — Bonaparte, zaczyna szukać przyjaźni z Habsburgiem, ostoją feodalizmu, reakcji i ciemnoty; zdradza, początkowo nieśmiało, interesy francuskiego ludu...

Niewesołe też rozmowy prowadzą przy obozowym ognisku polskie wiarusy. W obawie nowych zdrad rozpamiętują stare, już przeżyte, a jeszcze tak świeże, tak bolesne. Że to przecież zdradzali panowie — magnaci i biskupi, że za judaszowe srebrniki sprzedawali wolność Ojczyzny, której byli jedynymi rządcami. Że zdrajcy ci Ojczyznę z własnym interesem utożsamiali, niewolę polityczną woleli aniżeli uszczuplenie swego prawa panowania nad polskim chłopem. W sercach żołnierzy-legionistów tkwi też podświadoma może nieufność do własnych nawet oficerów z „panów“ pochodzących. Nic więc dziwnego, że zamilkli, skoro do ogniska zbliżył się i chciał z obecnymi nawiązać rozmowę mówiący po polsku oficer o kapitańskich szlifach, szarfą adiutanta Naczelnego Wodza przepasany. A jednak pod wpływem słów oficera niknie pomału przepaść dzieląca go od prostych żołnierzy. Jakżeż po mistrzowsku ujął Żeromski w swym dramacie scenę stopniowego tajania lodów nieufności żołnierzy do swego dowódcy jeszcze spod Zelwy, teraz adiutanta Wodza — księcia Józefa Sułkowskiego. Jakżeż szybko, w genialnej interpretacji Żeromskiego, niwelują się różnice poglądów politycznych i społecznych między grupą prostych chłopów a przedstawicielem najbardziej może błękitnej, bo królewską krew w sobie noszącej, arystokracji polskiej. Złączyła ich nienawiść do zdrajców i ciemiężycieli Polski i Jej ludu, wiara zaś w trwałe zdobycze rewolucji francuskiej. Żołnierz Boś rozpamiętuje niesławne dzieje roku 1792 i przeciwtargowickiej kampanii (Żeromski — „Sułkowski“ akt I):

„...Zdrada jeździła między bitnymi wojskami. Wojska szły naprzód i w tył, marzły i schły na upale, rznęły się przez błota, zdychały z głodu, konały z ran, a zdrada w biały dzień na karym koniu, pod czarnym pióropuszem jeździła w obozie. A gdzie pokazała buławą, tam wróg kulami siekł. Wiedła wojska tam i nazad, sama jedna wiedziała gdzie, rzekomo do boju, za polską Ojczyznę“.

Nie przeczył temu Sułkowski. On to samo przeżył i przebolał. Sam należał do tych pięćdziesięciu tysięcy wojska, które nie stoczywszy z wrogiem decydującej potyczki, zupełnie niezniszczone kapitulowało, bezczynnie patrzyło na zagładę wolności. Nie wszystko jednak stracone. Ale w walce o odzyskanie wolności musi przyświecać przykład francuskiego ludu (Żeromski — „Sułkowski“ l. c.):

„...Lud francuski nie powstrzymał się przed niczym, żeby z gardła przemocy wydrzeć swą wolność i swe szczęście. Bez żałości i bez miłosierdzia ścinał tam głowę brat bratu, przyjaciel przyjacielowi, żeby wytrzebić słabość z pomiędzy siebie. I patrzcie: lud francuski wszystkich wrogów odepchnął, zdeptał, pokonał. W gniewie swym lud francuski porwał się na wszystko, co stary świat wypracował. Palił stare prawa, targał wściekłymi rękami odwieczne świętości, broczył we krwi, żeby ze swego serca wydobyć nową, straszliwą siłę“...

Tak właśnie miał postąpić lud polski po wyzwoleniu kraju przez Legiony. A hetmanił mu będzie w walce z politycznym i społecznym wrogiem — on — książę Sułkowski.

Kimże był ten książę, któremu Żeromski każe wygłaszać tak jakobińskie poglądy, jakby żywcem wyjęte z pism „nieprzekupnego“ Robespierre'a, czy płomiennego St. Justa? Oglądając dramat wielkiego pisarza ma się wrażenie, że to postać legendarna, że to nie dzieje żywego człowieka, lecz życiorys mitycznego bohatera, uosabiającego w sobie wszystkie cnoty Jakobina polskiego. I trzeba się dopiero wczytać wnikliwie w pożółkłe foliały historyczne, trzeba sumiennych badań Askenazego, aby z mroków zapomnienia wydobyć właściwe oblicze byłego faworyta Marii Antoniny, kamerjunkra carycy Katarzyny, osobistego znajomego Marii Teresy, a wreszcie porucznika w pułku ułanów księcia Augusta Sułkowskiego.

W maju 1792, w czasie agresji Targowicy i jej carskich sojuszników w ziemie polskie, wiódł Sułkowski, dwudziestodwuletni młodzian, beztroski żywot porucznika kawalerii w pułku swego stryja. Wysłany wraz z pułkiem na Litwę, daje się łatwo porwać nurtowi surowego, żołnierskiego życia. Na polach bitwy poznaje

się i zaprzyjaźnia z Jakubem Jasińskim. Od niego też po raz pierwszy prawdopodobnie usłyszał wykład jakobińskich zasad. W opisie przeciwtargowickiej kampanii charakteryzuje Sułkowski tego przemilczanego przez oficjalnych historyków literatury poetę-żołnierza i rewolucjonistę: „...à la tête du génie... officier d'un grand mérite"...

Jasiński też wciągnął prawdopodobnie Sułkowskiego do tajnego klubu oficerów-demokratów. Można przynajmniej o tym wnioskować z luźnych wzmianek biografów Sułkowskiego. Kiedy bowiem po przegranej pod Mirem stała się zupełnie jawną zdrada naczelnego wodza armii litewskiej — księcia Wirtemberskiego, Sułkowski „...robił tajne związki między oficerami, namawiając, aby powstawszy przeciw ordynansom księcia, razem ułożyli się dla zrobienia — coup de main — decydującego o losie Ojczyzny"... A wiemy dziś, że to właśnie Jasiński był inicjatorem i wodzem Jakobinizmu polskiego... A że Sułkowski był wtedy zorganizowanym Jakobinem, dowodzi choćby to, że już po jego wyjeździe za granicę przeprowadzona przez policję targowicką rewizja u pozostałego w Warszawie w r. 1793 sekretarza ambasady francuskiej, ujawniła niewątpliwy kontakt między ambasadorem rewolucyjnej Francji Descorche a oficerem wojska polskiego — księciem Sułkowskim.

Teorie jakobińskie, zawsze żywe, zawsze prawdziwe, rozpieszczonego losem paniczyka przekształciły na wiernego i niezłomnego rycerza demokracji. Szczery i gorący rewolucjonizm otwierał Sułkowskiemu w r. 1794 podwoje przywódców paryskiej Góry, nakazywał pełne zaufanie, wyrażające się w wysłaniu polskiego księcia z tajną „indyjską" misją na Wschód.

Do Indyj jednak nie dotarł. Dłuższy czas przebywał w Konstantynopolu, gdzie doszła go wiadomość o wybuchu Insurekcji Kościuszkowskiej. Zamierza przekraść się do kraju, aby osobiście wziąć udział w ruchu. Przed tym jednak pisze „Essais politiques sur la Pologne". W pracy tej, przeznaczonej dla rządu francuskiego, Sułkowski w całej pełni wyjawia jakobińskie swe zasady. Oto co pisze o sprawie chłopskiej:

„...O moja droga Ojczyzno! Kiedyż ujrzę u Ciebie w każdej wsi zamiast pręgierzy, zasadzone drzewo wolności! Kiedyż ujrzę w ręku podrzędnych urzędników symbol pokoju zastępujący owo narzędzie chłosty, przed którym dzisiaj jeszcze drży sześć milionów niewolników. Czas ten nie jest zbyt odległym; coraz jaśniej szerzące się światło wieku daje nam pewność jego zbliżenia. Kiedy lud pozna swe prawa, jakżeż olbrzymią wówczas stanie się jego siła. I jacyż wówczas będą wszechwładcy, których by usiłowania nie rozprysły się o tą masę poważną ludzi zwolnionych z więzów służalstwa?...".

Uwagi Sułkowskiego o Polsce były pisane z myślą przedstawienia ich rządowi francuskiemu, celem uzyskania pomocy Francji dla powstającej z niewoli Polski. O pomoc tę nie błagał jednak. Wiedział, że naród polski musi w walce z wrogiem liczyć tylko na siebie, że wolę walki i zwycięstwa musi mieć nawet, gdyby mu samemu przyszło stać z bronią w ręku w obliczu przeważających sił nieprzyjacielskich. Dlatego też mówi w memoriale:

„...Naród, którego okoliczności a nie spodlenie wtrąciły do niewoli, winien przyjąć za elementarną podstawę swej dyplomacji Zwycięstwo. Taki naród nie może się go spodziewać na innej drodze, jak walcząc za swą niepodległość. Lud, który by się pozwolił uśpić w jarzmie, nie byłżeby tym samym godzien, aby go despotyzm przygniótł całym swoim ciężarem?..."

Wyprawa Sułkowskiego do kraju skończyła się częściowym tylko powodzeniem. Zmyliwszy czujność austriackich strażników zdołał wprawdzie dotrzeć do Warszawy, jednak już po Maciejowikciej klęsce. Brał tylko udział w obronie Pragi, został też ranny.

W roku 1795 udaje się na ponowne wygnanie: tym razem już nigdy nie miał zobaczyć ojczystego kraju. Po przez Galicję, drogą okrężną przez Wołoszczyznę i Włochy, dociera do Paryża. Żeni się tutaj z Francuzką, otrzymuje w drodze wyjątku obywatelstwo francuskie i zostaje wysłany przez rząd francuski, w randze kapitana, na front włoski, do boku Bonapartego. Po bitwie pod Arcoli zostaje mianowany przybocznym adiutantem Korsykanina, w tej też funkcji dotrwał aż do dnia swojej śmierci. Ginie w bitwie z tłumem arabskim na przedmieściu Kairu 22 października 1798 r.

Przy boku Napoleona miał Sułkowski do spełnienia olbrzymie zadanie. Miał pilnować, aby wszystkie czyny zwycięskiego wodza były zgodne z wolą ludu — najwyższego suwerena w państwie Wielkiej Rewolucji. Wiemy dziś o tym, że Sułkowski przez cały czas swej adiutantury pozostawał w ścisłym kontakcie z najbardziej radykalnymi czynnikami rządu francuskiego, że od nich odbierał bezpośrednio instrukcje... Nie zapominajmy o słowach Carnota wypowiedzianych na posiedzeniu Dyrektoriatu Wykonawczego po otrzymaniu raportu o wyprawie tyrolskiej:

„...Jeśli stracimy Bonapartego, mamy gotowego wodza w Sułkowskim..."

To też trudno nam, zwłaszcza dzisiaj, po doświadczeniach ubiegłych lat, uwierzyć, iż śmierć Sułkowskiego była dziełem czystego przypadku. Okoliczności tej śmierci są zbyt tajemnicze... A nazajutrz prawie po śmierci swego tak wartościowego adiutanta, Bonaparte opuszcza chyłkiem szeregi w Egipcie, wsiada na okręt, ląduje w Marsylii i przy pomocy reakcyjnej kliki dokonuje dyktatorskiego zamachu stanu, który mu wkrótce umożliwia ogłoszenie się cesarzem Francji...

Z dziecięcą ufnością wierzył Sułkowski, że Bonaparte nie jest zdolnym do zdrady interesów ludu, do zapędów dyktatorskich. Z oburzeniem odpiera zarzut, jakoby armia stała się bezwolną kukłą w ręku Napoleona:

„...My nie jesteśmy, my nie będziemy nigdy żołnierzami Sulli, którzy domagali się proskrypcyj z kraju, nie jesteśmy także owymi legionami, które ślepo szły za Cezarem. Ci, co lat sześć walczą za cel tak jasno oznaczony jak wolność, nabyli dosyć zdrowego rozsądku, aby rozróżnić jenerała-republikanina, aby dostrzedz moment, w którym prace publiczne, przestając odnosić się do spraw Rzeczypospolitej, mogły by się stać użyteczne samemu tyklo Naczelnikowi. Nie jesteśmy satelitami, lecz żołnierzami odzyskującymi tytuł obywateli; jesteśmy znakami reprezentującymi energię i dobre chęci wielkiej większości narodu Francuskiego..."

Ani na chwilę jednak nie zapomina Sułkowski o wrogach wewnętrznych, o obcych agenturach, czyhających na sposobną chwilę, aby wydrzeć ludowi zdobycze Rewolucji. Przestrzega przed tym niebezpieczeństwem, chociaż wie, że lud i jego armia ma dość siły, aby zgnieść i zniszczyć te zdradzieckie gniazda buntu:

„...Gdyby tego niezgwałconego poszanowania dla podstaw naszej wolności ludzi przewrotni poważali

się na nie nastawać, chorągiew trzykolorowa, powiewająca na szczytach Alp, stanie się przepowiednią ich śmierci. Ten miecz, który upokorzył Europę, błyśnie jak piorun. I Francja zostanie opuszczoną z tych istot złowieszczych, które gra losów nie powinna była nigdy wydobyć z nicości...“

W ciągu 1796 roku do wpływu we Francji dochodzą coraz bardziej reakcyjne elementy. Lud został chwycony w jarzmo najstraszniejszego terroru. Przywódcy ludu ginęli na gilotynach. Partia Jakobinów mogła działać tylko w podziemiach. Na miejsce demokratycznych, zaczęto wprowadzać monopolistyczny system rządzenia. Troska o los rewolucji ogarnia Jakobina-Sułkowskiego:

„...Gdy krzyki głupoty zastępują głos opinii publicznej, gdy smutny nacisk owych jestectw chwilowej trwałości, którym namiętności zasłaniają przeszłość i teraźniejszość, głuszy krzyk rozumu, ów krzyk człowieka żądającego wolności; wówczas republikanie francuscy mogą zapytać się z przerażeniem: czy istnieje jeszcze Rzeczpospolita Francuska?

Szukają oni jej w swych instytucjach i znajdują je pogwałcone; szukają jej w swych prawach i widzą je zupełnie zdeptane; szukają jej wreszcie w swych reprezentantach i napotykają ich większość wzdychającą do kajdan. Chwilę później ci republikanie wzmacniają się wzajemnie, ścieśniają swe szeregi, a wolność podbiega natychmiast podzielić ich wzajemne uściski; podnosi ona ich odwagę, podwaja ich środki, ożywia ich wyrazy i wreszcie odzywa się...“

Oto niektóre myśli Józefa Sułkowskiego, księcia-Jakobina, myśliciela i stratega. Zawsze wierny idei Wolności, zawsze w pierwszym szeregu w walce o Nią, czy to na polskiej czy na włoskiej, czy wreszcie na egipskiej ziemi. Wolność według jego poglądów, mogła być tylko jedna, bez względu na to, czy „wasza“, czy „nasza“. Za tę „naszą i waszą wolność“ śmiało nadstawiał czoła, na straży tej wolności zginął. Dziś, kiedy sojusznicza Francja obchodzi stupięćdziesięciolecie wybuchu Wielkiej Rewolucji, stajemy razem z nią w jednym szeregu w walce z brunatnym i czarnym barbarzyństwem „za naszą i waszą wolność“. Chyląc dziś czoła przed bohaterskim ludem Francji, uczcijmy pamięć jednego z największych bohaterów demokracji polskiej, który krwią własną przypieczętował nierozerwalny sojusz polskiej i francuskiej Wolności.

WINCENTY BANAŚ.

(Cytaty z Pamiętników Józefa Sułkowskiego, wydanych przez Hortens de St. Albin, z oryginału francuskiego tłumaczonych przez Ludwika Miłkowskiego).

Z dnia na dzień

Źródła siły demokracji polskiej

W chwili, kiedy stało się ostatecznie już jasne dla wszystkich, wbrew wszelkim sympatiom i faszystowskim ciągotom naszych reakcyjnych ugrupowań, że miejsce Polski, Polski jako państwa, Polski jako kraju, znajduje się nie po stronie brunatno-czarnego Berlinternu, lecz w obozie walki o wolność — nasi rodzimi totaliści zaniepokoili się nie na żarty. I oto teraz jednym z ulubionych hasełek wszelkich wczoraj jeszcze jawnie filohitlerowskich pisemek stała się insynuacja, że walka o demokrację w Polsce, to tylko taka sobie „pożyczka ideowa“, zaciągnięta od mocarstw zachodnich, że obóz demokracji polskiej wyrósł nie z walki polskich mas ludowych, z polskich wsi, fabryk i biur lecz, z inspiracji zagranicznych czynników. Insynuację tę trzeba z miejsca odeprzeć i osadzić na miejscu.

Obóz demokracji polskiej nie czekał z zadeklarowaniem swego stanowiska do marca 1939 r. Obóz demokracji polskiej głosił swe hasła od długich lat, toczył od szeregu lat upartą walkę z obu formami ataku totalistycznego na Polskę: z endecją i z sanacją, różnymi nieco metodami podejmującymi próby totalizacji kraju. Obóz demokracji polskiej nie musiał dopiero w marcu 1939 zaciągać „pożyczek ideowych“ na Zachodzie, bo jego ideologia wyrosła z polskiej rzeczywistości a skrystalizowała się i zahartowała w ciągu stu pięćdziesięciu lat walki o Niepodległość, walki, która była równocześnie walką o Wolność.

Od dni Kościuszki hasła demokratyczne splatały się nierozłącznie z walką o Polskę. Nie trzeba demokracji polskiej, „zapożyczać się“ u nikogo, skoro możemy uczyć się u naszych poprzedników, od Kościuszki poprzez Worcella i Krępowieckiego, Dembowskiego i Kamieńskiego, Hauke-Bossaka i Jarosława Dąbrowskiego, do Kunickiego, Waryńskiego i Limanowskiego. Cała bohaterska przeszłość niepodległościowa, to walka o demokrację, walka o wolność. Zapomnieli widać o tym redaktorzy pism totalistycznych, kiedy hasła demokratyczne i wolnościowe usiłują dzisiaj traktować jako „pożyczki ideowe“.

Nie trzeba nam „pożyczek ideowych“

„Pożyczki ideowe“ istnieją, ale zupełnie gdzieindziej: w polskim obozie totalistycznym. Bo czymże jeśli nie jedną wielką „pożyczką ideową“, pożyczką zaciągniętą w Berlinie i Rzymie jest cała „ideologia“ wszystkich niemal odłamów naszego totalizmu? Czymże jeśli nie „pożyczką ideową“ był ich zachwyt i uwielbienie dla gen. Franco, ofiarującego dziś łaskawie Gdańsk Rzeszy? Czym jeśli nie „pożyczką ideową“ były ich mundury i „saluty“, ich hasła i ich działalność? Czy taka „Falanga“, czy cała akcja O.N.R., nie była wyraźną, nawet niezbyt ukrywaną „pożyczką ideową“, mówiąc prościej, zwyczajnym małpowaniem Hitlera? „My, polscy hitlerowcy“ — pisało przecież tak stosunkowo niedawno jedno z pism O. N. R. Czym, jeśli nie „pożyczką ideową“ w Berlinie były „paragrafy aryjskie“, z uwzględnieniem dziadków i babek w organizacjach akademickich, czy też ostatnio w Naczelnej Organizacji Inżynierów? Przecież to dosłowne niemal kopie

ustaw norymberskich, z minimalnymi tylko zmianami tekstu.

Tak jest: nie trzeba Polsce „pożyczek ideowych“ z zagranicy. Nie trzeba „pożyczek ideowych“ z Berlina ani z Rzymu, z Burgos ani z Bratysławy. Nie trzeba Polsce ani totalizmu, ani „nieomylnych“ führerków-hitlerków. Nie trzeba „glajchszaltowania“ prasy i opinii. Nie trzeba niemieckich wzorów w nauce prawa, ani w żadnej dziedzinie życia społecznego. Nie trzeba monopartii, ani kierowanej kultury, ani antysemityzmu. Nie trzeba wielu jeszcze innych rzeczy...

Tak jest, panowie totaliści i krypto-totaliści, nie potrzeba w Polsce „pożyczek ideowych“.

„Po czynach ich poznacie ich“

A jako wzór „pożyczek ideowych“ zacytujmy tygodnik „Je suis partout“, wydawany przez hitlerofilską, berlinternowską grupę „Action Française“. O tygodniku tym warto wspomnieć tym bardziej, że grupę „Action Française“, wyraźnie monachijską, a więc wyraźnie antypolską, raczył właśnie teraz, w sierpniu 1939 r., nazwać „najbardziej narodową wśród narodowców“ p. Korab-Kucharski, korespondent paryski „Gazety Polskiej“.

Otóż to właśnie „Je suis partout“ określa, na łamach pertinaxowskiej „L'Europe Nouvelle“ zasłużony działacz chrześcijańskiej demokracji francuskiej, redaktor „L'Aube“, p. G. Bidault jako „wielki sukces propagandy hitlerowskiej“. Wspomina coś trochę o finansowych kulisach tego pisma, które miało jeszcze w 1936 r. przestać wychodzić, jako deficytowe, a odtąd, po zmianie wydawcy, zaczęło gwałtownie powiększać swój nakład i — zaostrzać ton. P. Bidault główny nacisk kładzie jednak na coś innego: na polityczną zbieżność działalności redaktorów tego pisma, pp. Gaxotte i Brasillach z dyrektywami propagandowymi p. Goebbelsa.

„Podejmuję się udowodnić — oświadcza Bidault — iż „Je suis partout“ we wszystkich zasadniczych sprawach broniło interesów reżymu hitlerowskiego i spotykało się ze stanowiskiem propagandy hitlerowskiej. W szczególności:

1. „Je suis partout“ stale i systematycznie zwalczało zagranicznych mężów stanu, na których pomniejszaniu zależało hitleryzmowi. (Bidault cytuje jako przykłady ataki na: Roosevelta, Benesza, Titulescu, Sforzę, Churchilla).

2. „Je suis partout“ stale i systematycznie podejmuje się obrony i wychwala polityków zagranicznych, na których współdziałanie liczył hitleryzm, a których wrogi stosunek do Francji był powszechnie znany (jako przykłady Bidault cytuje: Degrelle'a, Codreanu, gen. Franco, premiera Imredy'ego, Mussoliniego, Hitlera i Goeringa).

3. „Je suis partout“ stale i systematycznie przedstawia rządy we Francji i w innych krajach demokratycznych, sprzymierzonych z nią lub zaprzyjaźnionych, na wzór propagandy hitlerowskiej, jako śmieszne, haniebne, zbrodnicze.

4. „Je suis partout“ stale i systematycznie przedstawia reżymy totalne tak jak tego wymaga interes hitleryzmu, tłumacząc, że są one nadmiernie krytykowane, że działalność ich jest zadawalająca, a nawet godna podziwu.

5. „Je suis partout“ stale i systematycznie, a szczególnie w okresach krytycznych podejmowało hasła propagandy hitlerowskiej tak, że tygodnik ten brał udział w kampaniach prowadzonych przez prasę osi i to właśnie wtedy, kiedy oś była najbardziej zainteresowana w prowadzeniu tych kampanii.

6. „Je suis partout“ stale i systematycznie głosi światopogląd i stawia sobie cele albo podobne albo ściśle identyczne z światopoglądem i celami państw totalnych“.

Nie sposób cytować dalej wywodów pp. Bidault. Ale sądzimy, że jego sześć punktów, podług których identyfikuje on wpływy hitlerowskie w prasie francuskiej, przydadzą się każdemu. „Je suis partout“ znaczy bowiem: „Jestem wszędzie“...

P. hrabia zaprasza nas do spółki z Hitlerem

Warto czasami czytać „Jutro Pracy“, organ, na którego łamach swego czasu ogłaszano wielkie, entuzjastyczne sprawozdania z wycieczek poselskich do Trzeciej Rzeszy. Znaleźć tam można i teraz ciekawe nieraz uwagi. Ot, chociażby wspaniałą apoteozę p. Serrano Suner, pracującego w tej chwili w pocie czoła nad ostatecznym shołdowaniem Hiszpanii wielkiemu Wodzowi Wodzów z Berchtesgaden...

Ale stanowczo bije rekord artykuł szlachetnego węgierskiego hrabiego Włodzimierza Bem de Cosban, poświęcony stosunkom polsko-węgierskim. P. hrabia w artykule tym zajmuje się propagandą tzw. „planu Ciano“, podług którego Włochy mają zabrać Francji Tunis, Korsykę i Riwierę i przejąć zamiast Anglii protektorat nad Egiptem, Niemcy mają zabrać Belgię, Holandię, Alzację i Lotaryngię „oraz sąsiednie terytoria francuskie aż po Dunkierkę“, Hiszpania Marokko, Tangier i Gibraltar, Węgry mają połknąć Siedmiogród, a Polska jako zapłatę za pomoc dla osi, — państwa Bałtyckie oraz „dowolny obszar Rosji Sowieckiej“.

Podług p. de Cosbana plan ten „w sferach węgierskich, interesujących się polityką, uważany był za równie korzystny dla Polski, jak i dla Węgier“.

Toteż p. Cosban z głębokim żalem oświadcza, iż „Węgry nie mogą zrozumieć“ dlaczego Polska odrzuciła tak wspaniały plan zbójeckiej wyprawy i wolała przeciwstawić się planom niemiecko-włoskim. Z całego artykułu p. Włodzimierza Cosbana przebija nuta szczerego żalu, że szlachetny plan „wielkiej grabieży“ nie może się urzeczywistnić i nietajonej nadziei, że, gdyby „konflikt gdański zakończył się jakimś odpowiadającym obu stronom kompromisem“, o całej sprawie możnaby znowu pogadać...

Mniejsza o madziarskiego grafa. Wiadomo, że Węgry, to dziś już tylko paszałyk Berlina. Ale co robi artykuł zacnego propagandysty, reklamujący hitlerowskie plany zaborcze, na łamach polskiego pisma? Czy w lipcu 1939 r., w chwili, gdy „turyści“ niemieccy budują „park zabawowy“ na gdańskim Bischofsbergu, nie wypadałoby (chyba z tym się zgodzi „Jutro Pracy“) zamknąć szpalty prasy polskiej dla takich jawnych, mniejsza o to, płatnych czy honorowych adoratorów dra Goebbelsa?

Od wydawnictwa

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY, PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOSCI.

Otto Abetz i Hr. de Brinon

Przemawiając w Izbie Deputowanych dn. 27 czerwca roku bieżącego, oświadczył premier Daladier, że we Francji wykryta została rozległa **„sieć intryg, szpiegostwa i jeszcze czegoś gorszego“**. Z oświadczeniem tym zbiegło się wydalenie z granic Francji **Ottona Abetza,** osobistości dobrze znanej w kołach towarzyskich Paryża. Przyjmowany był on w salonach wielkiej finansjery, miał dostęp do redakcyj wielu dzienników i nieobcy był kilku wysokim dostojnikom. Nie jest naszym zamiarem omawianie tego **olbrzymiego skandalu szpiegostwa i zdrady,** który bezpośrednio potym wybuchł i zatacza coraz szersze kręgi, od strony anegdotyczno-sensacyjnej. Chodzi nam o to, że ten skandal posiada **palące znaczenie, również dla naszego kraju** i dostarcza klucza do zrozumienia nie tylko decydujących wydarzeń międzynarodowych ostatniej doby, ale także do zrozumienia **przygotowujących się rozstrzygnięć, obchodzących nas bezpośrednio.** Zbawienny skutek wykrycia tej niesłychanej afery polega na tym, że wywleka z ciemnych zakamarków laboratorium hitlerowskiego na światło dnia bezcenne wprost materiały, które pozwalają na dokładne odtworzenie genezy i rozwoju trzech podstawowych procesów, ujmowanych dotąd raczej tylko hipotetycznie: 1) sposobu organizowania sobie przez Hitlera dotychczasowych sukcesów zewnętrzno-politycznych, 2) istoty t. zw. prądów monachijskich i, wogóle, prohitlerowskich w polityce zagranicznej szeregu państw, 3) istoty „rewolucyjnych“ ruchów faszystowskich o charakterze antydemokratycznym w różnych krajach. Wspomnijmy także, że afera ta dostarcza **bezpośrednich danych, dotyczących manewrów antypolskich w związku ze sprawą Gdańska.**

Ponieważ dwa ostanie zagadnienia wyjaśniają pierwsze — rozpocznijmy od drugiego. Zdekonspirowanie Abetza, posiadającego rozległe i wpływowe stosunki we wszystkich niemal kołach społeczeństwa francuskiego, a zwłaszcza w jego kierowniczych szczytach politycznych, jako ogromnie czynnego agenta i szpiega hitlerowskiego, nie jest bynajmniej kwestią dopiero ostatnich tygodni. Opinia demokratyczna **już od szeregu miesięcy** zwracała uwagę na przejawy jego działalności. Już 9 grudnia ub. roku znany tygodnik „Lumière“ pisał: „Biuro Goebbelsa rozporządza wielkimi sumami pieniędzy w gotówce. Rozdzielanie ich odbywa się w dwóch różnych lokalach: jednym, położonym na prawym brzegu Sekwany i drugim — na lewym. W pierwszym operuje p. A., kierownik organizacji; w drugim — p. B., osobistość dobrze znana w Paryżu“. Pan A. to, oczywiście, Abetz; pan B. zaś, to hrabia Ferdynand de Brinon; jako mąż osobistego zaufania ministra spraw zagranicznych Bonneta, jeździł z jego polecenia w tajnych misjach dyplomatycznych, po wrześniu zeszłego roku, do Berlina i przygotowywał protokuł przyjaźni francusko-niemieckiej, podpisany w Paryżu przez Ribbentropa i Bonneta w grudniu zeszłego roku. Dodajmy, że w trakcie podpisywania tego protokułu u boku ministra Ribbentropa występował szpieg Abetz we własnej osobie, jak zresztą i na wydanym przez ministra Bonneta dla hitlerowskiego gościa przyjęciu, na które nie zaproszono, ze względu na ich niearyjskie pochodzenie, ministrów Mandela i Zaya. Przypomnijmy, że działalność hr. de Brinona w Berlinie wywołała gwałtowny protest oficjalnego ambasadora Francji, Coulondre‘a i groźbę dymisji z jego strony. Obecnie, w związku ze wszczętym w sprawie szpiegowskiej dochodzeniem, przeprowadzona została u hr. de Brinon rewizja.

Dn. 10 lutego 1939 „Lumière“ pisała: „Czyż podejrzani o szpiegostwo pozostają nadal we Francji wskutek interwencji ministra spraw zagranicznych? Czyż prawdą jest, że gdy Wydział Bezpieczeństwa i Drugie Biuro zażądały wydalenia z kraju Włochów i Niemców, których działalność jest podejrzana, minister spraw zagranicznych przeciwstawił się zastosowaniu tych środków? I że te osoby niepożądane pozostały we Francji? ...Agendy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Wojny spełniły swój obowiązek. Musiały się one ugiąć wobec veta ministra spraw zagranicznych. Jak mógł dopuścić premier i minister obrony narodowej do tego, aby indywidua podejrzane o szpiegostwo, przebywały nadal we Francji?“.

Przytoczone teksty pozwalają nam w pewnym stopniu zrozumieć, dlaczego pan Abetz mógł rozwijać przez długie miesiące zupełnie bezkarnie swoją działalność w stolicy Francji. Posiadał zresztą zdolnych i energicznych współpracowników. Jednym z najbardziej czynnych była piękna i młoda Niemka, Elżbieta Buttner. Wydalona z Anglii, jako podejrzana o szpiegostwo, osiedliła się w Paryżu i tu wzięła sobie za męża znanego arystokratę, dzięki czemu uzyskała obywatelstwo francuskie. Miała do swej dyspozycji prywatny samolot. Odbywała częste wycieczki do swej ojczyzny. Rewizje celne ułatwiał jej odddany, a ustosunkowany przyjaciel. Elżbieta Buttner obracała się w najwyższych kołach towarzyskich Paryża. Jedno z pism codziennych przytoczyło przed niedawnym czasem urywek listu, wystosowanego przez „żonę pewnego ministra“ do Elżbiety Buttner. Małżonka dygnitarza ofiaruje w liście owym usługi kobiecie-szpiegowi i oświadcza, że jest gotowa **„przekazywać do gabinetu mego męża wszelkie prośby, z którymi Pani chciałaby się doń zwrócić“.** Pismo to zapytało ze swych łamów, czy taki list został wystosowany, dając w sposób jasny do zrozumienia, że **chodzi tu o żonę ministra spraw zagranicznych, Bonneta.** Pytanie to pozostało bez odpowiedzi. Trzeba wyjaśnić, że Elżbieta Buttner nie jest bynajmniej szarym szeregowcem partii narodowo-socjalistycznej, ponieważ **była osobistą sekretarką Juliusza Streichera.** W jej to towarzystwie hr. de Brinon brał udział w kongresie hitlerowskim w Norymberdze i dzięki pośrednictwu dotarł do samego Hitlera.

Lecz pod jakim **formalnym pozorem** uprawiała spółka Abetz — Buttner i towarzysze tę dyplomatyczno-polityczną część swojej działalności? Mówiąc językiem procesów politycznych, użyli oni w tym celu legalnej przybudówki w postaci „Komitetu Francusko-Niemieckiego“, instytucji, powołanej do życia w listopadzie roku 1935 dla celów „zbliżenia kulturalnego“ obu krajów. Instytucji tej obecny minister spraw zagranicznych nie odmawiał żywego poparcia od pierwszej chwili objęcia swoich funkcyj. Hr. de Brinon, osobisty przyjaciel Abetza, był jej szarą eminencją. Ta „prawdziwa komórka radioaktywna hitleryzmu“, jak nazwał ten „Komitet“ Henri de Kérillis w „Epoque“, miała swój odpowiednik w Berlinie, w postaci „Deutsch-Französische Gesellschaft“, której patronował von Ribbentrop, a której duszą był Abetz we własnej osobie.

W protokule z posiedzenia „Komitetu“ w dniu 30 stycznia 1936 r. znajdujemy wzmiankę o **„zasadzie ustanowienia przy sekretariacie organu, któryby zajął się prasą i zwalczaniem kampanii, wszczynanych na podstawie fałszywych wiadomości — z chwilą, gdy znajdą się na to potrzebne fundusze“.**

W połowie lipca, w związku ze wszczętym w sprawie szpiegowskiej dochodzeniem, aresztowano dwie osoby: **Aubina,** szefa służby informacyjnej „Tempsa“, i **Poiriera,** kierownika działu reklamy w „Figaro“ i byłego administratora „Tempsa“. Obaj przyznali się do otrzymania znacznych sum za swoje usługi. Tak więc Aubin otrzymał trzy i pół miliona franków, a Poirier — milion. Bezwątpienia, jest to drobna zaledwie cząstka rozdzielonych przez agendę szpiegowską funduszów. Prasa codzienna przytacza treść raportu ambasadora Stanów Zjednoczonych w Paryżu, Bullitta, przesłanego do Waszyngtonu. Z raportu tego wynika, że w przeciągu sześciu miesięcy, od maja do listopada 1938, Hitler rzucił 300 milionów franków na przekupienie prasy francuskiej. Ambasador Bullitt wystosował wprawdzie do prasy dementi, zaprzeczające istnieniu takiego raportu, lecz uczynił to po upływie długiego czasu od chwili, gdy wiadomość poczęła obiegać łamy prasy codziennej.

Rola „Tempsa“ w dziele przygotowywania Monachium i nawoływania do oddania Czechosłowacji na pastwę Hitlerowi jest znana — i nie ma potrzeby nad nią się tutaj rozwodzić. Lecz trzeba przypomnieć, że właśnie w „Tempsie“ ukazał się zupełnie niedawno, już w czasie naprężenia polsko-niemieckich stosunków z powodu Gdańska, znany artykuł prof. Barthélemy, domagający się „rokowań“ i „pokojowego“ załatwienia sporu. Słynny artykuł Déata w „Oeuvre“ „Nie za Gdańsk“, który rzucił slogan: „czy umierać za Gdańsk?“ i stał się hasłem do podjęcia gwałtownej kampanii monachijskiej — jak donosi jeden z dzienników — był zapowiedziany, na krótko przed swym ukazaniem się, przez Ottona Abetza w Berlinie, w rozmowie z pewną osobistością francuską. Wydaje się rzeczą pewną, iż Otto Abetz spotykał się często ze Stefanem Lauzanne, publicystą „Matina“, w którym ten ostatni bronił gorąco monachijskiej polityki dalszych ustępstw, to znaczy ustępstw kosztem Polski. Pozostawał Abetz w bliskich stosunkach z Pfeifferem, b. sekretarzem partii radykałów, obecnie bliskim osobie płk. de la Rocque‘a i jego dziennika „Petit Journal“, znanego z roboty prohitlerowskiej. Słowem, gdziekolwiek dotknąć dyplomatyczno-politycznej i prasowej akcji monachijczyków i prohitlerowców, wszędzie za jej kulisami natykamy się na agenturę Ottona Abetza.

Obraz nie byłby pełny, gdybyśmy pominęli kilka uwag retrospektywnych. Na kilka dni przed remilitaryzacją Nadrenii sławny „Komitet“ ogłosił wywiad z Hitlerem, w którym ten, kończąc właśnie swoje przygotowania do pierwszego gwałtu międzynarodowego, zapewniał o swoich intencjach szczerze pokojowych i swej lojalności. Na kilka dni przed wkroczeniem wojsk niemieckich do Pragi, hrabia de Brinon, powróciwszy do Paryża z Berlina, wziął się niezwłocznie i usilnie do kolportowania w prasie i w salonach zapewnień, że Niemcy wkroczyły na drogę pokoju, porzuciwszy nieodwołalnie metodę zaskoczeń. Co się zaś tyczy przygotowania Monachium, to ograniczmy się do przytoczenia fragmentu wywiadu, udzielonego przez szefa wojskowej misji francuskiej w Pradze, gen. Fauchera, w grudniu zeszłego roku paryskiej „Epoque“ — pismu, stojącemu, jak wiadomo, blisko francuskiego sztabu generalnego: „Mam pewność, że propaganda niemiecka rozwija się we Francji w sposób zupełnie niezwykły. Muszę stwierdzić z naciskiem, że pewne dzienniki były redagowane otwarcie przy bezpośredniej współpracy agend obcej propagandy. W pewnych wypadkach, mając w ręku teksty francuskie, rozpoznawałem nietylko gazety codzienne, czy tygodniki, ale też broszury i książki — i nie waham się tego powiedzieć, nie chcę użyć innego słowa, że popełniona została **prawdziwa zdrada.** Pewne artykuły francuskie, ledwo się ukazały w Paryżu, zaraz były reprodukowane i wszechstronnie wykorzystywane w radio i prasie niemieckiej... Wyraziłem dokładnie moją myśl, mówiąc, że działo się tak, jakby pewne dzienniki były po prostu organami propagandy niemieckiej“.

Przypomnijmy sobie, że w okresie Monachium „pewne dzienniki francuskie“ opublikowały raport gen. Gamelina o stanie zbrojeń francuskich, tak go preparując, aby robił wrażenie przyznania niedostateczności zbrojeń dla podjęcia akcji przeciw Niemcom, co w sposób decydujący przeważyło szalę opinii na rzecz monachijskiej kapitulacji. Chodzi tu o dzienniki, na które miał niewątpliwy wpływ francuski minister spraw zagranicznych, Bonnet.

Jak więc widzimy, każdy swój nowy gwałt i każdą swoją nową napaść poprzedzał Hitler zawsze taką samą „akcją dypomatyczną“, polegającą na oszukaniu, okłamaniu i zatruciu opinii kraju, którego ewentualną kontrakcję pragnął sparaliżować, **przy pomocy szeroko rozbudowanej agentury dywersyjno-szpiegowskiej, ściśle współpracującej z grupą bardzo wpływowych zdrajców.** Staje się więc jasne, że istotą „zaskoczenia“ hitlerowskiego jest właśnie długa i gruntowna praca przygotowawcza tego typu pośród „zaskakiwanych“, stanowiąca konieczną przesłankę powodzenia aktu ostatecznego. Rzeczywiście, wkroczenie np. Hitlera do Pragi było niespodzianką nietylko dla szerokiej opinii publicznej, ale i dla niejednego z mężów stanu, nie należących do zamkniętej kliki świadomych zdrajców, — tak we Francji, jak i gdzie indziej.

STEFAN HERBERT.

Literatura w służbie obrony

I.

Toczyła się nie dawno w prasie dyskusja o postawie literatury polskiej wobec zadań obrony. Padł zarzut pod adresem pisarzy, że twórczość ich nie służy sprawie moralnej, to znaczy *ideowej,* organizacji oporu narodowego przeciw grożącej z bliskiego Zachodu imperialistycznej agresji.

Wydaje się, że dyskusja przeszła raczej obok głównego zagadnienia, że poruszyła moment bynajmniej nie najistotniejszy w tej kwestii, choć sam w sobie niewątpliwie dość zasadniczy. Rozprawiano o totalizacji czy też etatyzacji literatury, przyczem większość dyskutujących wypowiedziała się oczywiście za pełną swobodą twórczości literackiej, przeciw poddawaniu jej jakimkolwiek skrępowaniom politycznym.

To dobrze. Ale nie o to przecież idzie w tej chwili. Zarzut, który postawiono współczesnej literaturze polskiej, polegał nie na potępieniu jej antytotalistycznego stanowiska i wolnościowej ideologii, lecz szedł w zu-

pełnie innym kierunku. Wytknięto literaturze polskiej — powiedzmy otwarcie — *bezideowość*, pławienie się w sprawach nieistotnych, omijanie żywego nurtu współczesności, ucieczkę przed rzeczywistym życiem narodu, uchylanie się od podejmowania i rozwiązywania zagadnień, które ta rzeczywistość przed Polską postawiła. I na to obrońcy literatury nie odpowiedzieli tak, jak można tego było oczekiwać. Skręcili dyskusję. Jeden tylko Czuchnowski (w „Czarno na Białym“) ujął sprawę właściwie: poruszył zagadnienie *ideowości* literatury, podkreślił związek zachodzący między ideologią pisarza i jego twórczości, a jego zdolnością do podołania naczelnym w tej chwili zadaniom obrony narodowej. Zaakcentował nierozerwalną łączność ideologii demokratycznej i ludowej z prawdziwym patriotyzmem.

Oczywiście Czuchnowski nie wyczerpał, bo zapewne nie zamierzał wyczerpać, zagadnienia. Ukazał jego aspekt bezpośrednio polityczny. Ukazał ten aspekt w właściwym świetle.

Nie zwalnia to jednak publicystyki demokratycznej i niezależnej krytyki literackiej od obowiązku poszukania głębiej leżących, bardziej ukrytych przyczyn omawianego zjawiska. Dlaczego literatura nasza — jak jej zarzucono — nie umiała samorzutnie włączyć się w akcję organizowania obrony narodowej, dlaczego nie stała się wielkim arsenałem ideowym, w którym kraj znalazłby oręż dla jutrzejszego starcia? Na to pytanie należałoby odpowiedzieć — przyjmując oczywiście, że w ogóle zarzut postawiony literaturze był uzasadniony.

Rzecz jasna, że właśnie na to pytanie nie mógł dać trafnej odpowiedzi przede wszystkim ten, kto w „Polsce Zbrojnej“ z zarzutem wystąpił. Ale też nie trudno zrozumieć, dlaczego i jego oponenci, którzy skwapliwie skręcili dyskusję na boczny w tej chwili tor, musieli ominąć podstawowe zagadnienie — zagadnienie ideowości literatury.

Bo żadna z polemizujących stron nie mogła pokusić się o wykrycie i ujawnienie przyczyn, obniżających ideowy poziom twórczości literackiej w naszych czasach; podłoża, na którym w tak zastraszającej ilości krzewi się dziś literatura bezideowa, nie mogli w właściwym świetle ukazać ci, którzy je stworzyli. Przed nieuchronnymi konsekwencjami *takiej* analizy naszych stosunków literackich i *takiej* krytyki współczesnej literatury polskiej musieli cofnąć się wszyscy, którzy za stan ten ponoszą mniej lub więcej bezpośrednią odpowiedzialność.

II.

Czuchnowski podkreślił bardzo słusznie, że literatura reakcyjna, otwarcie sympatyzująca z faszyzmem i mniej lub więcej ściśle kopiująca jego wzory ideowe, nie może dziś stanąć na szańcu obrony przeciw imperialistycznej agresji, kroczącej właśnie pod sztandarem faszyzmu, posługującej się tym samym orężem ideowym, którego pisarze reakcyjni w Polsce używali i używają w walce z ideałami wolności. Niewątpliwie polski obóz totalistyczny i reakcyjny przechodzi w tej chwili ciężki kryzys ideowy, wywołany katastrofalnym bankructwem wszystkich jego dotychczasowych założeń politycznych, zarówno w dziedzinie ustrojowej, jak w sprawach polityki zagranicznej. Widoczna nawet dla najmniej bystrego obserwatora całkowita dezorientacja ideowa polskiej reakcji (spowodowana zresztą przede wszystkim poczuciem kompromitacji wobec społeczeństwa, a nie szczerą i odważną chęcią naprawienia błędów i powetowania szkód) sparaliżowała jej i tak już nader słaby rozmach ideowy i sprowadziła uwiąd jej twórczości literackiej. Nic dziwnego: nie łatwą będzie rzeczą przejść po prostu z dnia na dzień do zwalczania tego, co dotąd zachwalano i krzewiono. *Ta* literatura nie spełni swego narodowego zadania.

Ale przecież ta imitująca bezmyślnie hitleryzm jawnie faszystowska twórczość literacka i przed bankructwem ideologii reakcyjnej nie była w Polsce poważną pozycją — ani jakościowo, ani nawet ilościowo. Nie przypisujmy tym biednym ludziom winy za wszystko, nie obarczajmy ich odpowiedzialnością za to, czego nie popełnili, bo nie mogli popełnić. Ich wpływ na literaturę był przecież minimalny — właściwie żaden. Te cierpkie słowa, które im Czuchnowski wygarnął, dotyczą rzeczy martwej. „Literatura“ faszystowska — nie tylko przecież w Polsce — przyszła na świat nieżywa. I dlatego nie wiele naszej literaturze mogła zaszkodzić.

Prawdziwe spustoszenia zawdzięcza natomiast literatura polska temu gatunkowi twórczości, artystycznie nieraz bardzo wysoko postawionemu, który nazwaćby można sybarytyzmem literackim. Jako wyraz przeraźliwie bezideowej i oportunistycznej postawy życiowej pisarza i sfer, których „światopogląd“ w jego utworach się przejawia, stała się ta literatura programem tchórzliwej, jawnej lub zamaskowanej, dezercji znacznego odłamu inteligencji mieszczańskiej z pola walki o wolność. Opuszczając w popłochu szaniec obrony kultury i człowieczeństwa żywioł ten znalazł swych chorążych w licznych, nieraz prawdziwie utalentowanych, starszych i młodszych, pisarzach i krytykach, którzy jako najszczytniejsze zadanie literatury obwieścili buszowanie po krętych labiryntach „prywatnej“ duszy izolowanego osobnika, głębokie wiercenia poszukiwawcze w tajemniczych przepaściach naszego „wnętrza“, dalekie podróże odkrywcze w krainę fikcji psychologicznej. Panicznej ucieczce przed zagadnieniami współczesności towarzyszy w tej literaturze odwrót od realizmu w dziedzinę fikcyjnej i abstrakcyjnej problematyki psychologicznej, nie mającej nic wspólnego z życiem wewnętrznym żywego, rzeczywistego człowieka naszych czasów.

Zjawisko to nie jest bynajmniej przypadkowe. Na przykładzie niejednego pisarza możnaby nawet dowieść, jak oportunizm życiowy, pragnienie wygodnego bytowania poza nurtem walki i zwyczajny brak odwagi cywilnej — prowadzi bezpośrednio do produkcji utworów *dezerterskich*, rozpatrujących najdziwaczniejsze i najbardziej nierzeczywiste „problemy“ rzekomo psychologiczne, a przezornie unikających wszelkiego, jakże niemiłego dla tych ludzi, zetknięcia z rzeczywistością.

Jeżeli — jak słusznie podniósł Czuchnowski — nie można od literatury faszyzującej oczekiwać rzeczywistego przeciwstawienia się faszystowskiemu imperializmowi Trzeciej Rzeszy, to jakże wymagać tego od pisarzy, którzy za najwyższą cnotę literacką uważają w ogóle odgrodzenie się od wszystkiego, co nurtuje współczesność, od wszystkiego, czym żyje społeczeństwo i co stanowi rzeczywistą treść życia narodowego? A cóż to wszystko może obchodzić twórcę, w którego powieści np. rozgrywa się patetyczny dramat polegający na wchodzeniu i wychodzeniu różnymi drzwiami bardzo wielu osób, różniących się jedynie imionami, męskimi i żeńskimi, wybranymi z kalendarza wedle kryterium największej dziwaczności? Czyż nie są to problemy stokrotnie ważniejsze od płaskich, banalnych zagadnień ideowych? Korowody dziwaków, maniaków, histeryków, samobójców są przecież bardziej interesujące i bardziej

rzeczywiste od środowisk i jednostek pracujących, myślących i walczących...

Ta literatura, literatura dezercji i kapitulacji przed faszyzmem, nie weźmie udziału w organizacji obrony. Nie jest do tego zdolna — jeżeli nie chcemy i w tej dziedzinie płatnych i może hałaśliwych, lecz pisanych bez wewnętrznego przekonania, agitek propagandowych na zadane tematy. O to nigdy nie trudno. Ale nie o to przecież idzie.

III.

Organizacja ideowej obrony niepodległości — to znaczy ideowa organizacja *walki o wolność* — nie może być dziełem literatury, zapatrzonej w antydemokratyczne, faszystowskie wzory. To jasne.

Ale też nie można oczekiwać spełnienia tych naczelnych dziś zadań od literatury *programowo* bezideowej, od pisarzy — sybarytów, od „ideologów" oportunizmu i dezercji, od rozdrapywaczy fikcyjnej, izolowanej jaźni, myszkujących pod ludzką przeponą i stamtąd czerpiących najdonioślejsze problemy swej twórczości.

I to jest chyba nie mniej jasne.

Nic też dziwnego, że te istotne momenty zagadnienia nie zostały poruszone ani przez „Polskę Zbrojną" ani przez większość jej oponentów. Bo śmiałe i konsekwentne uderzenie w istotne przyczyny zjawiska doprowadziłoby do wniosków, znacznie przekraczających intencje polemizujących publicystów. Powstałaby kwestia politycznych elementów takiego stanu literatury, kwestia atmosfery ideowo - kulturalnej, w której czynniki, wytykające dziś pisarzom bezideowość, same sprzyjały powstawaniu tej bezideowej literatury, niezdolnej teraz do sprostania naczelnym zadaniom chwili! Musiałoby się okazać, że widząc niemożność wytworzenia bojowej literatury jawnie antydemokratycznej i obskuranckiej — czynniki te wolały już twórczość bezideową jako jedynie skuteczną odtrutkę przeciw tej literaturze ideowej, która śmiało szła na spotkanie dzisiejszym czasom i przygotowywała masy do zadań, stojących dziś przed Polską!

Ta literatura, literatura prawdy i walki, nie cieszyła się przecież sympatią sfer, piętnujących dziś nieobecność tak wielu pisarzy na froncie obrony narodowej. Nie wiedziano np., co począć z powieścią Boguszewskiej i Kornackiego „Deutsches Heim" zawczasu sygnalizującą hitlerowskie niebezpieczeństwo. Dlaczego? Bo powieść tę poprzedzał tom „Nous Parisiens", który dawał śmiałą, społeczno - psychologiczną analizę rządzącej „elity zasłużonych", a i w „Deutsches Heim" odkrywcza praca pisarzy sięgnęła w tym względzie bardzo głęboko. No, i poza tym sprawa była mocno kłopotliwa...

Tak samo nie mogła liczyć na sympatię i uznanie kół antydemokratycznych twórczość bezpośrednio służąca sprawie ludu polskiego, służąca ideałom i dążeniom ogromnej większości narodu, tych jego warstw, które w razie potrzeby staną w pierwszych szeregach obrony narodowej. I właśnie z tamtych szeregów zabrzmiał piękny i pozbawiony wszelkiej koniunkturalnej sztuczności wiersz: *„Bagnet na broń!"*

Ta literatura, ideowa literatura Polski Pracującej i Walczącej, znajduje się już na swym posterunku. Jest to przecież jej stary posterunek, z którego nigdy nie schodziła. Posterunek demokracji. Posterunek walki o Polskę Ludową — to znaczy: niepodległą.

I ta literatura nie potrzebuje żadnych wezwań ani nakazów.

MICHAŁ JORDAN.

Śmielej „Czerwona Różo"!

„Czerwona Róża", organ p. W. Ipohorskiego - Lenkiewicza, autora artykułów wstępnych „Gazety Polskiej", tego samego, który w tejże „Czerwonej Róży" przed kilku tygodniami groził polskiej demokracji „bolesnym wyrównaniem rachunku" — ten oto organ naszego wojującego młodo-totalizmu zaczął myśleć. Zaczął mianowicie myśleć o sytuacji międzynarodowej Polski i wnioskach, jakie z tej sytuacji wyciągnąć należy również dla naszej polityki wewnętrznej. A wnioski te są wcale ciekawe: oto „Czerwona Róża" domaga się wespół w tym wypadku z całą demokracją polską, „likwidacji enklaw ideologicznych Trzeciej Rzeszy" na terenie Rzeczypospolitej. Posłuchajmy, zupełnie zresztą słusznej motywacji organu p. Ipohorskiego:

„...Nie ulega wątpliwości, że jedną z metod działania polityki niemieckiej, obok „wojny na wytrzymałość" jest i będzie nadal krucjata ideologiczna. Osłabić od wewnątrz upatrzone na ofiarę narody i przygotować w ten sposób grunt pod przyszłe bezkrwawe zwycięstwo — takie są przejrzyste cele tej nowoczesnej krucjaty, prowadzonej pod znakiem łamanego krzyża....

...Kolejność etapów, jakie zakreśla sobie tak pomyślana akcja niemiecka, jest jasna. Etapem pierwszym byłoby wskazanie narodowi jakiegoś urojonego albo drugorzędnego wroga i podniesienie go do godności „wroga Nr 1"; etapem drugim — zasugerowanie, że z tym właśnie wrogiem walczy (i przoduje w tej walce!) nar.-socjalistyczna partia Niemiec; etapem trzecim — wytworzenie więzi pokrewieństwa duchowego pomiędzy NSDAP a jej odpowiednikiem, i wreszcie etapem czwartym — wykorzystanie stworzonej w ten sposób enklawy w kierunku rozbrojenia psychicznego narodu od wewnątrz..."

Słusznie zupełnie zwraca organ naszych młodo-totalistów uwagę na katastrofalne zupełnie — ze stanowiska interesów niepodległości państwa, ze stanowiska obronności kraju — następstwa rozszerzenia hitlerowskiej zarazy na kraje, sąsiadujące z Rzeszą i zagrożone jej ekspansją:

„...Cóż by to bowiem był za triumf polityki niemieckiej, gdyby w krajach, które mają stanowić „przestrzeń życiową" dla Rzeszy, zaczęła się szerzyć jej ideologia! Gdyby zaczęły wzrastać w siłę partie, uważające NSDAP za swego mistrza duchowego a które zgłosiłyby akces do tej „krucjaty" i ozdobiły swe piersi symbolicznym znakiem łamanego krzyża!...

Cóż by to była za rozterka psychiczna dla żołnierza, widzącego w nieprzyjacielu, z którym ma walczyć — chorążego, bojownika i pioniera tej samej idei, którą on, jako skromny adept, zaczął również wyznawać!

Cóż to za wspaniałe ułatwienie psychiczne dla ludzi, wzdragających się przed jawną kapitulacją, a któ-

rych w chwili rozterki może nawiedzić olśnienie, że tu nie chodzi przecież o zdradę ojczyzny, lecz poprostu — o akces do tej nowoczesnej krucjaty, prowadzonej przy boku tych, którzy pierwsi wici na nią rozesłali...“

Jakże słuszne są te uwagi „Czerwonej Róży“! Ale dlaczego organ p. Ipohorskiego nie wyraża się nieco konkretniej? Dlaczego nie mówi swym czytelnikom, jakich to konkretnie „urojonych, albo drugorzędnych wrogów“, jakie to „bestie apokaliptyczne“ wyszukuje sobie Trzecia Rzesza, by odwrócić uwagę narodu polskiego od łapy hitlerowskiej, sięgającej po nasze ziemie zachodnie? Dlaczego taka nagła wstydliwość, taka niespodziewana dyskrecja?

Wystarczy przejrzeć parę periodyków hitlerowskich, wystarczy posłuchać kilku audycji osławionego Radio Breslau, by wiedzieć o jakie to „bestie apokaliptyczne“ chodzi i kto konkretnie w Polsce uległ już, a co najmniej ulegał do niedawna hitlerowskiemu, jak to słusznie nazywa „Czerwona Róża“, „podbojowi ideologicznemu“. Te „bestie“ to demokracja, socjalizm, „marksizm“, „masoni“, Żydzi itd. itd. A zarażony hitlerowską szczepionką był cały nasz obóz totalistyczny najrozmaitszych odcieni, który, właśnie wtedy, kiedy Trzecia Rzesza szykowała się do wielkiego grabieżczego pochodu zajmował się ustawami anty-masońskimi, ghettem ławkowym, pikietami na targach i nagonką anty-demokratyczną wszelkiego typu. Dlaczego o tym wszystkim milczy „Czerwona Róża“?

Książki nadesłane

Henryk Świątkowski: Stan prawny polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego (w zarysie). Warszawa 1939. Odbitka z „Głosu Sądownictwa“.

Stanisław Dobraniecki: Ojczyste strony. Wypisy polskie dla IV klasy szkół powszechnych 3 i 2 stopnia. Lwów 1939. Wydawnictwo Zakł. Narodowego im. Ossolińskich.

Michał Kalecki: Płace nominalne i realne. Warszawa, 1939. Instytut Gospodarstwa Społecznego.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA WARSZAWA, UL ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630
REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA za wiersz 1 mm, lub jego miejsce zł. 1.—. w tekście. Za tekstem gr 60

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 703 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka. W-wa, Dobra 58, tel. centr. 644-59 i 592-40.